Świat Kobiecy

NR. 14 15 LIPCA 1930 R. ROK X



wyżej. Jej twórczość — to najszlachetniejszy akt niesienia sztandaru, na którym wypisano *Excelsior*.

Człowieka i naród wzywała Wolska pod ten Swój posłanniczy znak. Nie oszczędziła wyrzutu i sądu nikomu, gdy spostrzegła, że Polska śpi. Nie oszczędziła też Siebie, a życie Swoje podała ludziom, jak komunję — aby im łatwiej było samym znieść ciężar istnienia.

Nie podeszła do nas z kłamliwą „radością życia", z oszałamiającą lawiną pustych słów. Poetka prawdy — nie mogła powiedzieć, że życie jest lekkie i piękne. Odsłoniła wszystkie jego rany — na własnem sercu, a samarytańską służbę pociechy spełniła Chrystusowo, ukazując na krzyżu — swoje przebite gwoździem dłonie.

I za to, że z tych umęczonych rąk spłynęła do nas sztuka godzenia się z życiem, za to, że nie z uśmiechem bolesnym, ale spokojnym wskazała Wolska lepszy, „tamten" świat, za to, że mimo wszystko dochowała do końca wiarę w lepsze życie, wiarę w jakiś pozgonny akt sprawiedliwości i przekazała nam tę wiarę między wierszami Swego testamentu — za to chylimy czoła przed Jej duchem wyzwolonym z podzięką, że wskroś burzy, wskroś bólu, wskroś goryczy „żyła z nami, cierpiała i płakała z nami."

Teraz, gdy Jej już niema i gdy nic już nie zmieni smutku Jej książek, pamiętajmy, że ostatniem, serdecznem drgnieniem tego twórczego serca, była trwożna nadzieja:

„Coś z mego słowa, coś z myśli mojej
Może się przecie śmierci ostoi..."

Jest to wszystko, czego za mękę istnienia i twórczości pragnęła Maryla Wolska. Niechże nie rozsypie się w nicość — ta jedna bodaj nadzieja duszy ludzkiej...

JADWIGA GAMSKA

W ROCZNICĘ CZARNOLESKĄ

TYLE świata hołdem pokłoniło się oto pokornym — niedawno minionemi dniami — pokłoniło się sławie czarnoleskiego piewcy. Rozmówiła, rozśpiewała się pieśń chwały o Janie Kochanowskim, a onej brzmiącej rozmowie-pieśni, słowo po słowie dorzucali poeci dziedzice dalecy strun lutni czarnoleskiej, dorzucali uczeni i ci, którym podźwięków owej lutni nie tłumiła jeszcze jazzbandowa współczesność. Tyle słów, tyle słów — że trudno doprawdy dorzucać ich więcej. Bo nie w tem rzecz, aby ze słów daninę złożyć obowiązującą, po której martwe jeno zostają słowa, obok których przechodzi się z pochyleniem głowy wprawdzie — ale obojętnie, obojętnie. —

Uczyli mię w szkole „Trenów", uczyli „Odprawy posłów greckich" i niejedne łzy czyste, rzęsiste utrapionego ucznia szóstej klasy polały się nad wkuwanym napamięć hymnem „Czego chcesz od nas Panie"... Kazali nam wiedzieć, wiedzieć niewątpliwie kiedy się urodził, kiedy to i owo napisał ów straszny mąż, Jan Kochanowski, kazali nam wiedzieć, że był wielkim, że był największym. Ale pokazawszy nam w groźnym cieniu profesorskiego notesu groźne, ponure dalekie Jego oblicze — nie umieli pokazać jego uśmiechu, nie powiedzieli, że ów mąż z bronzu, średniowieczny, napół jakoby nierzeczywisty, rzekł przecie:

„Psalmy" syłam, gdzie kogo nabożnego słyszę,
A „Fraszki" zaś dla dobrych towarzyszów piszę;
„Sobótka" paniom służy; gracze odprawuję
„Szachami", a wesołe „pieśniami" daruję."

a także:

„Jakoby też rok bez wiosny mieć chcieli,
Którzy chcą, żeby młodzi nie szaleli."

To nam rzec trzeba było, trzeba było nauczyć nas kochać i rozumieć wielkość Kochanowskiego w jego prostocie, w tem, co bliskie było sercom naszym. Bo nie w tem rzecz, żeby ktoś nocą, zbudziwszy nas pytaniem: kto to był Kochanowski? — uzyskał bezmyślną, wśród lamentów i skarg Symonidowych wyuczoną odpowiedź: wielki, największy poeta — i żeby to potem, jak i przedtem było nam dalej obojętne, obojętne. —

A dziś z rozkoszą przedzieram się gąszczem czarnolasu gotyckich, gałęzistych liter podobizny pierwodruku „Odprawy posłów greckich" [1] i wierzę słowom Antenora „Te słowa nie są ku wyrozumieniu nazbyt trudne... Nie waż ich sobie lekcze, ani miey za baśni." Dziś tak blisko jestem tych słów, tem bliżej, że pozwolono mi oglądać je w formie ich zewnętrznej prawdziwej, choć krojem dzisiejszym nie uwspółcześnionej — a jednak współczesnej.

A jeśli z wierszy „Trenów" z rozpłakanych serdecznym bólem rymów ojcowych, ujawnia się oczom moim, genjalną ręką Stryjeńskiej [2] wyczarowana postać płowowłosej Urszulki, co ziemski porzucając padół, w sukience z lamy złocistej, otoczona gromadą rozśpiewanych, jakby wowrowych ptaszków — po tęczy ku niebu się wznosi, na ziemi luteńkę jeno i buciczki, na znak, że Urszula żywą była, a nie z legendy, zostawiwszy — to wiem, że to właśnie tak idzie ku mnie ta czarnoleska nuta, i wiem, że dlatego właśnie kochać ją muszę.

Musimy kochać wszyscy tę poezję nawskróś rasową, nawskróś polską, użyczającą nam orzeźwy lip miodnych, ukoju „wieśnych" pożytków i wczasów. Bo znowu nie w tem rzecz, abyśmy w wielkość jej wierzyli rozprawom mądrym, mowom czy artykułom na słowo — ale, byśmy owe pojęcie wielkości wytworzyli sobie sami, własną lekturą dzieł poety, który wierzył i miał nadzieję, „że przedsię za laty nie będą moje czułe nocy bez zapłaty; A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy, to po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy" — abyśmy sami zdali sobie sprawę, że pieśnianemu wezwaniu Jana z Czarnolasu „Powiedz słowieński rym, o wielostrona lutni złocona" owa lutnia nie pozostała głucha i powiedziała mu rym, istotnie najbardziej słowieński ze słowieńskich. —

Czyżby — pytam się — hołd najprostszy, hołd nieświadomy, najpiękniejszy, jaki sobie mogę wyobrazić hołd dla poety, składany niemal codziennie Janowi Kochanowskiemu w pachnących lipą i modrzewiem kościółkach wiejskich, w izbach ciosanych, w boru Czarnolesie i w drodze i w czas burzy czy przygody wszelkiej, hołd składany ustami człowieka prostego, słowami poety w pieśni-modlitwie do Boga, który „z łowczych obieży wyzuje" i

„Aniołom Swoim każe cię pilnować
Gdziekolwiek stąpisz, którzy cię piastować
Na ręku będą, abyś, idąc drogą,
Na ostry krzemień nie ugodził nogą" —

Czyżby ten hołd, składany niemal codziennie powtarzaną powszędy pieśnią „Kto się w opiekę poda Panu swemu" — nie zdołał nas zaprosić pod wiecznie żywą, wiecznie żywych wierszy liśćmi szumiącą „lipę czarnoleską" która do dziś jednakim nas wzywa szelestem: „Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczniesz sobie!...

...Tu zawżdy chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potem szlachci pańskie stoły."

WŁODZIMIERZ LEWIK

---

[1] Światłodrukowe wydawnictwo „Ossolineum" Lwów 1930.

[2] „T r e n y" z ilustracjami Zofji Stryjeńskiej, w opracowaniu H. Gaertnera i S. Łempickiego — L w ó w 1930, wydawnictwo Ossolineum.

KOBIETY BELGIJSKIE

W STULETNIĄ ROCZNICĘ NIEPODLEGŁOŚCI BELGJI

W MAJU r. b. Belgja obchodziła pamiątkę zdobycia sobie, drogą rewolucji, niezależności państwowej. Rocznica ta zbiega się z projektowanym w Polsce obchodem powstania listopadowego. Przed stu laty bowiem losy obu narodów zadzierzgnęły się w sposób nader znamienny. Belgowie jednocześnie z nami powstali przeciwko obcej przemocy, nie chcieli dłużej znosic jarzma niewoli. Podczas jednak gdy ich rewolucja uwieńczona została zupełnem powodzeniem i stała się początkiem nowej ery, Polska 100 lat czekać musiała na wzejście jutrzenki wolności. A gdy nasi bohaterowie i ideowi przywódcy powstania, rozprószyli się po świecie po klęsce poniesionej, garstka ich, i to z najwybitniejszych ludzi złożona, schroniła się do Belgji. Tam to walczył na czele jednego z rewolucyjnych oddziałów generał Skrzynecki, tam dożywał ostatka dni swoich historyk, patrjota i gorący obrońca idei demokratycznych, Joachim Lelewel.

Przez 100 lat naród belgijski złożony z dwóch odmiennych szczepowo odłamów: walońskiego i flamandzkiego, wypracowywał sobie zgodę wewnętrzną, prawa dla wszystkich równe i sprawiedliwe, wreszcie dobrobyt ogólny. Przez 100 lat nie ustawa ani na chwilę w trudzie, który mu niósł rozwój kulturalny na wszystkich polach. Korzystał z 85 lat niezmąconego pokoju, co mu osiągnięcie tych świetnych rezultatów w znacznym stopniu ułatwiło. Zabudowały się miasta zniszczone w czasie wojen napoleońskich, zagospodarowały się wsie, wzrośli w zamożność ludzie wolnych zawodów, rozwinęła się znakomicie sztuka plastyczna. Do konkurencji z dominującem najpierw rycerstwem a później mieszczaństwem wystąpiła klasa robotnicza, która wywalczyła sobie wszelkie prawa i zabezpieczenia, a samodzielną inicjatywą stwarzając liczne szeregi instytucyj spółdzielczych, zabezpieczyła się od zmiennych kolei losów.

Jedna tylko część społeczeństwa a właściwie jego połowa z kobiet złożona, nie mogła w ciągu tego długiego okresu czasu pozyskać zupełnego równouprawnienia. Wszelkie usiłowania podjęte w tym kierunku, rozbijały się o zakorzenione wśród narodów romańskich silne lekceważenie kobiet, pokryte pozorami galanterji względem nich stosowanej. Bohaterka romansu w książkach na eksport produkowanych, Francuzka i Belgijka w rzeczywistości pełna zalet domowych, skrzętna i zapobiegliwa, nie ma i nie miała w ojczyźnie swojej takiego uznania na jakie zasługuje.

Oto w jaki sposób skarży się na taki stan rzeczy pani de Craene Vanduwren w wydawnictwie jubileuszowem stulecia niepodległości Belgji.

„O ile w wielu dziedzinach Belgja nie daje się zdystansować innym cywilizowanym krajom europejskim, w zakresie równouprawnienia kobiet doniedawna jeszcze była niezmiernie zacofana. Nie była ona w liczbie tych 25 narodów, które przyznały kobietom prawa polityczne, a skrępowanie ich kodeksem Napoleona trwało w całej pełni, pomimo, że cały wiek od czasu jego ułożenia upłynął, przynosząc z sobą zasadnicze zmiany w życiu społecznem i ekonomicznem. Dopiero wojna r. 1914—1918 i następujące z nią klęski, zwróciły uwagę na konieczność i pożyteczność współpracy kobiet, wykazały też zasoby bezinteresownego poświęcenia tkwiące w duszy kobiety belgijskiej.

Do zmiany poglądów przyczyniła się również znakomicie zmiana w stosunkach ekonomicznych. Czy się to mężczyznom podoba czy nie, znaczna liczba kobiet musi obecnie samodzielnie zarabiać na życie swoje i rodzin, co wytwarza coraz wzrastającą konkurencję. Wyszedłszy raz z zacisza domowego i stykając się bezpośrednio z życiem, kobieta bierze już udział we wszystkich sprawach socjalnych i nieraz ma w nich głos decydujący. Nie skłoniło to jednak dotąd prawodawców belgijskich do przyznania jej prawa rozstrzygania w sprawach majątkowych bez asystencji męża."

Tyle pani Craene Vanduwren. Powiedzmy jakie uprawnienia dało się dotąd pozyskać. Pomiędzy 1920 — 1921 r. kobiecie belgijskiej przyznano prawo wyboru do samorządu a także do Izb parlamentarnych. Od tego czasu bardzo jeszcze nieliczne jednostki z niego korzystają. Są tu bowiem stosowane liczne ograniczenia a także prawa te są stopniowo nadawane. I tak: w 1919 r. obdarzono, jako nagrodą za zasługi, prawem wyborczem wszelkich stopni wdowy po żołnierzach poległych w czasie wojny, matki, które straciły synów, bądź na polach bitew, bądź rozstrzelanych przez Niemców, wreszcie te, które odcierpiały karę więzienia za swój patrjotyzm. Później dopiero w pewnym stopniu prawo to uogólniono.

Najboleśniejszem jednak dla kobiety belgijskiej jest, że będąc zawsze w mniejszości czy to w Zgromadzeniu Narodowem, czy to w instytucjach ustanawiających pewne zmiany ustrojowe, nie może wpłynąć na ich korzystne ukształtowanie się względem żon i matek, tak ważną odgrywających rolę w ogólnem gospodarstwie krajowem. Prawa robotnicze są wskutek tego niedostateczne, nie ochraniają bowiem, w równej mierze, pracownicy fizycznej, matki w szczególności. Przyznany jej jest urlop na czas słabości, nie dostaje jednak pieniężnego odszkodowania.

Rota przysięgi ślubnej, przyrzekająca posłuszeństwo mężowi, obowiązuje w Belgji w zupełności. Kobieta nie rozporządza swojem mieniem, co więcej mężowi tylko wolno dysponować losem dzieci, decydować o ich małżeństwie, o wyborze zawodu lub t. p.

Odsunięta też jest od wielu stanowisk, tylko mężczyznom przysługujących. Nie może służyć w dyplomacji, nie może zostać sędzią; zawsze występuje publicznie jako istota niższa duchowo, podrzędna.

Najgorzej jednak sytuowana jest kobieta w warstwach fizycznie pracujących. Jak przed wiekami spadają na nią zadania najcięższe, trud codzienny niczem nie wynagrodzony i zawsze moralnie nie doceniony w tysiącznych zajęciach domowych. Dla niej nie istnieje ośmiogodzinny dzień pracy a mąż zawsze ma prawo powiedzieć jej: „ty co nic nie robisz". Ale nawet i te „inteligentki", które posiadają cenzus niezbędny do wyborów, rzadko tylko mogą z niego korzystać. Partje polityczne układają listy, na które dostać się kobiecie niema sposobu, chyba w owych razach wyjątkowych, o których wspominaliśmy; ale tu przypadek rozstrzyga a nie rzeczywiste uzdolnienie i przygotowanie.

Pomimo to kilka kobiet belgijskich wysunęło się na czoło. Zasiadająca w Senacie pani Spaak wygłosiła świetną mowę z powodu śmierci ministra Wauters'a, posłanka p. Łucja Desjardin zabiera niejednokrotnie głos w Parlamencie w kwestji opieki społecznej i szkolnictwa. Pozatem pewna ilość kobiet pracuje z powodzeniem w literaturze, jak: autorka, głębszą tendencją nacechowanych powieści flamandzkich, panna Belpaire, p. zaś Van der Wiele przyczyniła się swojemi powieściami, pisanemi po francusku, do rozsławienia literatury belgijskiej. O ogólnej współpracy dwóch narodowości Belgję zamieszkujących, świadczy i to, że Francuzka z pochodzenia pisze po flamandzku, Flamandka zaś o germańskim pierwiastku, używa w swojej twórczości języka francuskiego. I w innych dziedzinach pracują też kobiety odznaczając się swojemi zdolnościami. Doktorat obojga praw na wolnym uniwersytecie brukselskim uzyskała panna Popelin. Walczyła ona całe życie o prawa kobiet, nie doczekała jednak rezultatu swoich starań, umarła bowiem w przededniu wielkiej wojny w 1913 r. Pracy u podstaw oddawała się p. Gatti, która prowadzi od szeregu lat w Brukseli kursy wyższego wykształcenia kobiet. Zasadą jej jest, że dla zdobycia praw niezbędne jest poznanie, w jaknajszerszym zakresie, obowiązków obywatelskich i odpowiednie do nich przygotowanie.

Samorzutnie zrozumiały a właściwie odczuły konieczność poświęcenia się nietylko dla ojczyzny ale i dla obcego kraju, do którego przejścia wojskom niemieckim broniły, kobiety belgijskie. Wśród pomników stawianych w ciągu lat ostatnich bohaterskim ofiarom wojny, widnieją i posągi dzielnych obrończyń. Na jednym z placów Brukseli na wysokim cokole, wznosi się postać Gabrjeli Petit, która stanęła na czele kobiet i nie chciała wpuścić Niemców do swojej wioski. Wszystkie poległy, ale w pamięci potomnych śmierć poniesiona w obronie rodzinnego gniazda nie zaginie, tak jak wiecznotrwałe będzie zachowanie się całej ludności belgijskiej w chwili najazdu niemieckiego.

Tu nie chodziło już tylko o własne niebezpieczeństwo, ale o zaprotestowanie, ofiarą krwi własnej, przeciw pogwałceniu granic Francji oraz przeciw zbrojnemu napadowi na państwo sąsiednie.

I Belgja odegrała tutaj rolę Winkielryda narodów; w pierś swoją przyjęła ciosy dla innych przeznaczone, za to niech jej będzie cześć i chwała.

Z naszej strony szczególniej. Wszakże potrafiliśmy niegdyś walczyć „za wolność naszą i waszą" i to hasło wypisane było na naszych sztandarach.

I to właśnie łączy nas z Belgją w stuletnią rocznicę jej wyzwolenia. Zrozumieliśmy bowiem wspólnie, że losy narodów są współzależne, a klęska jednego z nich odbija się na losach innych. Belgja dla tej idei przez wiek cały pracowała, a i my niewątpliwie, po odzyskaniu niepodległości, będziemy jej dźwignią i podporą na forum międzynarodowem.

I. W. KOSMOWSKA

BALLADA LESZCZYNOWA

W leszczynowych laskach — świszcze, dudli, klaska,
jakże tę świszczynę, jakże tę leszczynę
wiatr wygłaskał, wiatr wyplaskał,
wiatr wyczesał pięknie.

Wiatr sobie postoi, wiatr sobie uklęknie,
w leszczynie pohula — listeczki postula,
powygładza, powypieszcza, li-li, li-li, listki w leszczach.

A gałązki suche, kruche, te co młodym zawadzają
tylko trzasną, tylko prasną, tak je wiatr w swych zębach, kleszczach —
wielokrotnie potnie,
z leszczyny wyprosi i wymiecie, powynosi
na tych swoich silnych rogach —
i rozsypie je po drogach,
po stogach roztrząśnie,
potem sobie cicho świśnie, potem sobie cienko kląśnie
i po krótkiej chwili
li-li, li-li, do listeczków, do leszczyny, do świszczyny wróci
w tej leszczowej nucie!

A gałązki suche, a gałązki kruche
na tych drogach, na tych stogach
szu-szu, szu-szu, rozsypią się i rozkruszą.

A wśród leszczowej pogody
ostaną się tylko młode,
tylko zdrowe i najbardziej smagłe.

Wiatr przyleci nagły
w leszczowinie się przewinie
i zakocha się w leszczynie —
jak chłopiec w dziewczynie —
i wytuli, wyhołubi
i lu-lu, lu-lu wylubi
i listeczki porozpłaszcza
w leszczynowych haszczach
i w podszewkach gdzieś zaszuści:
„listeczkowe nóżki puśćcie!"

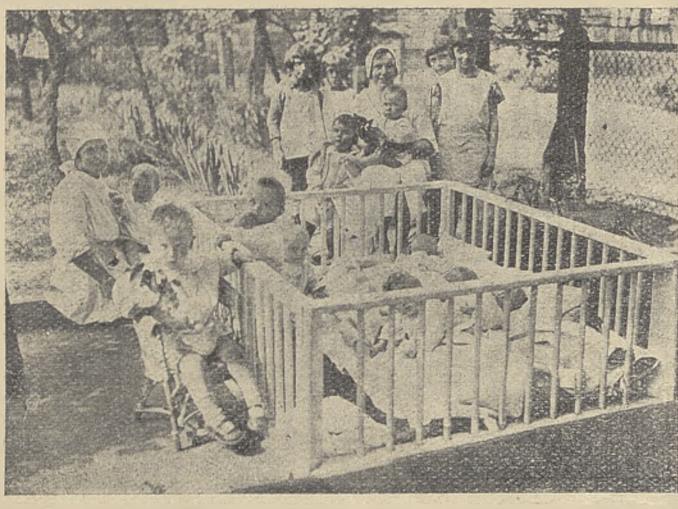
I zagwizdnie i zasapie:
„dom leszczowy wysprzątałem,
hu-hu, hu-hu wyhuchałem,
niech cię teraz panno złapię
leszczynowa, jagodowa,
cóż tak lu-li tulisz,
cóż tak „mo-je, mo-je" chowasz,
cóż tak la-la, la-la pieścisz
w lasowym szeleście?"

To są me pociechy —
te laskowe, leszczynowe, zdrowiutkie orzechy,
wymiotłeś me właści,
a naści! naści! naści!

KAZIMIERA ALBERTI

ŻŁOBKI FABRYCZNE, JAKO WYRAZ OPIEKI NAD KOBIETĄ PRACUJĄCĄ

PRZYMUS organizowania żłobków w fabrykach, zatrudniających ponad 100 kobiet (na mocy ustawy w przedmiocie pracy młodocianych i kobiet z dnia 2 lipca 1924, rozdział III, art. 15), to pierwszy krok na drodze systematycznego ujęcia opieki nad macierzyństwem kobiety pracującej.



Pierwsze kroki na świeżem powietrzu

Świadczenia, jakie daje Kasa Chorych, są bowiem tylko doraźną, okresową pomocą, natury raczej materjalnej (zasiłki pieniężne, pomoc lekarska), podczas gdy żłobki stanowią instytucję o charakterze także wychowawczym i kulturalnym.

Niedoceniają znaczenia żłobków kobiety-inteligentki. Gra tu rolę niezawodnie uprzedzenie do instytucyj o charakterze społecznym i nieuzasadnione zarozumialstwo, iż rzekomo „każda matka najlepiej wie, czego jej dziecku potrzeba". Faktem jest, iż gdy przed paru laty rozpoczęto w Warszawie propagandę wśród urzędniczek, na rzecz stworzenia żłobków dla ich dzieci, z wielką do tych projektów przychylnością odnieśli się panowie z zarządu Stowarzyszenia Urzędników Państwowych, przychylnie nastrojone były poszczególne kierownictwa większych urzędów — natomiast panie same wcale się tą sprawą nie zainteresowały. Pamiętam, że na odczyt znakomitej lekarki, która omawiała potrzebę i organizację żłobków, przybyły aż... dwie panie urzędniczki, jeśli się nie mylę, obie niezamężne, w wieku, kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa macierzyństwo już im nie groziło. Gdy o przyczynę tego zlekceważenia sprawy pytano — dowiedziano się, że urzędniczki zamężne i dzieciate — „nie mają czasu" zajmować się akcją na swoją korzyść.

Gdybyż to było prawdą, że im tego nie potrzeba! Gdybyż to było faktem, że matki „z inteligencji" mają dostateczne wykształcenie, aby same wychowywały swe dzieci! Gdybyż to warunki mieszkaniowe i higjeniczne rodzin pracowniczych, a często i zamożnych domów mieszczańskich były bodaj równe warunkom żłobkowym! Znacznie — powiedzmy bez ogródek — rozumniejszy stosunek do sprawy wykazały robotnice. Wielkim motorem powodzenia żłobków fabrycznych stała się potrzeba, wynikająca z biedy, nędzy mieszkaniowej i okropnych częstokroć warunków, w jakich wegetują pracownice proletarjatu. Na przeszkodzie powodzeniu żłobków stała przez pewien czas nieufność do instytucji nietylko nowej, ale utrzymywanej przez fabrykantów, którzy, jak wiadomo, niewszędzie i niezawsze kierują się względami społecznemi w świadczeniach dla siły roboczej. Równocześnie z kół, skrajnie nastrojonych, szła agitacja przeciw przyjmowaniu tych świadczeń od wrogiego kapitalizmu.

Akcja rządowa, głównie kobiecego inspektoratu pracy, pokonała jednakże te uprzedzenia — a widok pierwszych żłobków fabrycznych, zakładanych przedewszystkiem w wielkich wytwórniach rządowych, przemówił oczywistością korzyści do matek robotnic. Żłobki napełniły się maleństwami; matki wkrótce nauczyły się szacunku dla wiedzy lekarzy i pielęgniarek żłobkowych, dostosowały się do regulaminów higjeniczno-wychowawczych, widząc wielki pożytek stosowania przepisów i wpływ pielęgnacji niemowląt na wzrost ich wagi, zdrowie i rozwój.

Żłobki nietylko racjonalnie i wzorowo pielęgnują niemowlęta. Kształcą równocześnie także i matki, które siłą samego naśladownictwa uczą się zachowywać odpowiednią czystość, staranność i dbałość o swe dzieci. W żłobkach, nie poprzestając na doraźnych wskazówkach pielęgniarskich dla matek, urządza się systematyczne pogadanki dla rodziców, wdrażając ich w pedagogiczny stosunek do dziecka, piętnując najbardziej rozpowszechnione, a nawet okrutne wady (np. bicie) wychowania domowego.

Ten kulturalny czynnik w organizacji żłobków ma również wtórny wpływ w ustosunkowaniu się przedsiębiorców do sprawy. Osiągnięte rezultaty dają w wielu wypadkach taką satysfakcję rzeczową i moralną, iż zainteresowanie fabrykanta, który pod przymusem urządził i utrzymuje żłobek, rozszerza się na dalszy okres wychowania dzieci robotniczych. Poprostu urok dziecięctwa „chwyta za serce" i po żłobku, powstaje przy fabryce ochronka, po ochronce przedszkole, ówdzie żłobek lotny i ośrodek zdrowia. Tak rzecz się ma np. w Mikaszewiczach na Polesiu (fabryka Olza), tak w Skawinie (Fabryka Francka), tak w niektórych zakładach pracy na Pomorzu (fabryka Pe Pe Ge w Grudziądzu), gdzie zrobiono w zakresie opieki nad dziećmi robotniczemi więcej, niż wymaga przymus ustawy.

Taka idylla społeczna jest oczywiście wyjątkiem — natomiast prób i to daleko idących wyzbycia się tego



Codzienna toaleta wychowanków żłobka

ciężaru ze strony właścicieli przedsiębiorstw było bardzo wiele, a przodowała w nich przemysłowa magnaterja Łodzi. Przytaczano tysiące racyj na to, by wyka-

zać olbrzymie, nieprawdopodobne koszty urządzenia żłobka, „rujnujące" koszty utrzymania kilkudziesięciu niemowląt i rzekomą niechęć robotnic do instytucji.

Stan obecny żłobków fabrycznych pozwala mniemać, iż mają one przed sobą świetny rozwój zapewniony. W ciągu dwu lat od wejścia w życie obowiązku zakładania żłobków powstało już na terenie Polski 81 funkcjonujących instytucyj opiekuńczych nad niemowlętami robotnic fabrycznych. Żłobków w fabrykach państwowych jest 36, w prywatnych — 45, licząc w to i stacje lotnej opieki. Polegają one na tem, że w braku odpowiedniego lokalu, lub w razie mniejszej ilości niemowląt, fabryka angażuje pielęgniarkę, która odwiedza dzieci w domach, opiekuje się niemi podczas nieobecności matki, udziela wskazówek, kontroluje stan zdrowia i rozwoju niemowląt. Pod kierunkiem lekarza.

Ilość wyżej przytoczona — z będącemi w stadjum organizacyjnem około 100 żłobkami — wystarcza zaledwie na udzielenie opieki $^1/_4$-tej niemowląt, których matki mają do tych świadczeń ustawowe prawo. To też inspektorat pracy kobiet bardzo energicznie pracuje nad rozszerzeniem sieci żłobków. W najlepszym zresztą razie, tylko 50 procent kobiet pracujących w wielkim przemyśle będzie mógł dla swych dzieci znaleźć miejsce w żłobkach. Tylko połowa bowiem — nieco więcej nad 100.000 — pracuje w większych skupieniach, zatrudniających przepisane ustawą 100 kobiet, druga połowa robotnic pracuje w rozproszeniu, w małych przedsiębiorstwach, w grupach nieobjętych ustawą.

Dla tych pracownic, wobec wielkiej potrzeby przyjścia im z pomocą, urządzają żłobki organizacje społeczne przy pomocy samorządów. Wiele organizacyj kobiecych wzięło sobie za punkt programu tworzenie tych nad wyraz potrzebnych instytucyj.

Już z powyższego widać, że ustawa dotycząca żłobków fabrycznych ma poważne luki, ustawodawca liczył się niezawodnie z tem, że wszystkiego odrazu osiągnąć nie można i że rozwój opieki nad macierzyństwem iść musi stopniowo ewolucyjnie. Żłobki zapewniają np. opiekę dziecku do 15 miesięcy życia, gdy w tym wieku maleństwo potrzebuje również bacznej opieki. Ale inicjatywa prywatna tu i ówdzie ulepsza literę prawa, powstają „dziecińce" dla malców wychodzących ze żłobka, jako ogniwo pośrednie w łańcuchu opieki do ochronki i przedszkola.

Jeśli chodzi o wzorową organizację i wyposażenie żłobków — to najwięcej pod tym względem zrobiły fabryki monopolowe. Przy 12 fabrykach monopolu tytoniowego istnieją świetnie urządzone żłobki, kuchnie mleczne oraz 6 opiek lotnych. Matki otrzymują wyprawki dla niemowląt, mieszanki mleczne, przyrządzane według przepisu lekarskiego, środki odżywcze i t. d. W żłobkach dzieci mają idealne pomieszczenia, rozbieralnie, sypialnie, kąpiele, „kojce" dla uczących się chodzić, a gdzie to możliwe, ogródki i kąpiele słoneczne.

Żłobki, jako wyraz racjonalnej opieki nad niemowlęciem kobiety pracującej, stanowią wybitną zdobycz ruchu społecznego i postęp w stosunku do realnego uwzględniania istotnych interesów kobiety. Tego dotychczas nie było, a gloryfikacja macierzyństwa bywała czczą i fałszywą nawskroś manifestacją frazesów — gdy w życiu opuszczenie, nędza i niedola matki i dziecka wyniszczała pokolenia, ledwie że zrodzone. Dziś, dzięki pierwszym — bo jeszcze bardzo niewiele zrobiono w stosunku do potrzeb — interwencjom ustawodawstwa społecznego, opieka nad macierzyństwem przestała być łaskawą dobroczynnością, stała się obowiązkiem społeczeństwa, a prawem kobiety, która ciężkim trudem pracy zarobkowej narówni z mężczyzną przyczynia się do produkcji i dobrobytu społeczeństwa. Jej macierzyństwo zasługuje w zupełności na szeroką opiekę, zwłaszcza jeśli uwzględni się krzywdzącą nierówność płac, jakie w stosunku do płac mężczyzn pobierają za równą pracę robotnice. Jest to zaledwie częściowe wyrównanie.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

KOBIETA I JEJ SAMOTNOŚĆ

SŁAWNA książka p. t.: „Samotna kobieta", którą napisała Amerykanka Agnes Smedley, jest zjawiskiem w literaturze wyjątkowem. Od czasu „Wyznań" Jana Jakóba Rousseau nikt jeszcze z taką swobodą, z taką bezwzględną i chwilami brutalną szczerością nie odsłonił swoich najbardziej intymnych przeżyć. Ta opowieść o życiu własnem nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek mistyfikacją lub stylizacją artystyczną. Jest to prawda obnażona aż do bezwstydu, prawda, na którą mogła się zdobyć tylko ta kobieta, objawiająca we wszystkich sytuacjach życiowych okrutną bezpośredniość urodzonej proletarjuszki.

Dla nas, ludzi starego autoramentu, przywykłych do pojmowania kobiety jako zjawiska zawsze wyidealizowanego, kobiety, która ledwo że palcami ziemi dotyka, ta drapieżna i bezceremonjalna Amerykanka, opowiadająca o niektórych swoich przeżyciach miłosnych tak, jak o najpospolitszej funkcji fizjologicznej, wydaje się nietylko przerażającą, ale poprostu fałszywą i nierealną. Trzeba się pozbyć nietylko zakorzenionych przesądów, aby zrozumieć wartość tej spowiedzi okrutnej, ale trzeba również uświadomić sobie, że w tym wypadku mamy do czynienia ze szczególnym okazem kobiety, która wydobywszy się ze środowiska upokarzającego strzeże zazdrośnie skarbu wolności, którą z takim trudem zdobyła. Dla osiągnięcia niezależności zupełnej poświęca nawet to, co kobieta posiada najbardziej bezcennego, najbardziej sobie przyrodzonego, a mianowicie: miłość. Jeślibyśmy usiłowali znaleźć jakąś tendencję w tej opowieści tak bardzo urozmaiconej, to chyba byłoby nią twierdzenie, że kobieta wyzwolona i samodzielna musi zrezygnować z miłości, albowiem miłość w każdej formie jest dla niej niewolą i uciskiem, miłość zawiera w sobie odwieczne nieporozumienie dwojga odmiennych płci, którego ofiarą pada zawsze kobieta.

Książka Agnesy Smedley nie należy do t. zw. przyjemnej lektury. Oburza nas nieraz, budzi niesmak i potępienie, ale jednocześnie dostarcza bardzo bogatego materjału, wprowadza w bardzo mało znane zaułki życia kobiecego. Dlatego zapoznać się z nią bliżej warto.

— — — — — — — — — — — — —

Pierwsze rozdziały tej opowieści związane są z posępnem środowiskiem proletarjackiem, wśród którego Agnes Smedley urodziła się, wychowała i spędziła pierwsze lata młodości. Powtarza się tutaj bez zasadniczych zmian to, z czem nas już zapoznały inne współczesne książki, zajmujące się zagadnieniami proletarjackiemi, a przedewszystkiem słynna autobiografja Georga Finka p. t.: „Jestem głodny".

Jakieś straszliwe przekleństwo ciąży ponad tą krainą wydziedziczonych. Oddychamy znowu skoncentrowanym zapachem nędzy i widzimy wszystkie jej ponure dekoracje. Ojciec niepewny fantasta, podlegający namiętnościom burzliwym i atakom złości potwornej, matka niewolnica obowiązków, niezawodne oparcie całej rodziny, łachman ciała zwiędniętego przedwcześnie, ożywionego jedynie tragicznym instynktem wytrwania aż do ostatniego tchnienia. Ciotka Agnesy piękna Helen, która osiedla się w purytańskiem Denver i sprzedaje swoje ciało tamtejszym czcigodnym obywatelom.

Rodzeństwo walczące z początku z nędzą, a potem pochłonięte przez występek i zbrodnię. I od najwcześniejszych dni rozgrywają się wśród tych ludzi sceny straszliwe; padają zniewagi okrutne i oskarżenia wyszarpane z pod trzewi. Raz po raz rozlegają się tępe uderzenia, potem okrzyk bólu pomieszany z nienawiścią i bełkotem pijaństwa, a wreszcie straszliwa cisza tępej rezygnacji. Ani jednego jaśniejszego błysku, nic z radości życia i jego powabów. Wszystko zachęca tylko jednostki silniejsze do wydobycia się z przepastnej i beznadziejnej głębiny, wszystko ostrzega przed lekkomyślnym postępkiem, któryby uniemożliwił raz na zawsze zdobycie swobody. Dla kobiety największem niebezpieczeństwem jest w tych warunkach małżeństwo.

„Gdybym nie miała we krwi — pisze ona — włóczęgowskich zaścianek — dziedzictwo ojcowskie — i gdybym nie wzięła po nim chęci sprzeciwiania się zgóry przeznaczonemu losowi, byłabym pewno została na całe życie w tem górniczem miasteczku, zostałabym żoną jakiegoś ciężko pracującego człowieka, urodziłabym mu tuzin dzieciaków i zestarzałabym się w trzydziestym roku życia."

Obawa przed małżeństwem, którą wyniosła z proletarjackiego środowiska, staje się niejako przewodnią myślą całego życia i przeradza się w istną żądzę zupełnej niezależności.

Dzięki szczęśliwemu przypadkowi Agnes Smedley zostaje nauczycielką w małej wiejskiej szkółce, w której, sama jeszcze nic nie umiejąc, uczy małych Meksykańczyków i Metysów.

I właśnie od tej chwili, kiedy zaczyna się zbliżać, a nawet współżyć ze znienawidzonem, burżuazyjnem środowiskiem, życie jej zaczyna stawać się coraz ciekawsze, coraz intensywniejsze — pełne przygód i wrażeń silnych, niespodziewanych. Początki są nieraz jeszcze bardzo trudne. Agnes Smedley wydobywa się powoli z nizin życia. Spełnia czynności podrzędne, przez długi czas zarabia na życie jako agentka werbująca prenumeratorów dla prowincjonalnego „magazynu". Jednakowoż los zaczyna się do niej uśmiechać i pozwala wśród okoliczności sprzyjających nasycić głód wiedzy. Wreszcie w dziewiętnastym roku życia poznaje miłość i wbrew dotychczasowym uprzedzeniom poślubia młodego duńskiego studenta. Jest to naturalnie związek dwojga ludzi wolnych, niczem nieskrępowanych i od siebie niezależnych.

Agnes Smedley opisuje w swej książce przeżycia małżeńskie z zadziwiającą bezceremonjalnością. Po pewnym czasie młodzi ludzie rozchodzą się, albowiem nawet to koleżeńskie małżeństwo poczyna przeradzać się w niewolę kobiety, która nie chciała być w najmniejszym nawet stopniu ani własnością ani podwładną mężczyźnie istotą.

W ten sposób rozpoczyna się znowu życie zupełnie niezależne, życie kobiety, której zamiast miłości subtelnej i wyłącznej wystarcza proste, ze wszelkiego uroku odarte zaspokojenie zmysłów.

Podczas wybuchu wojny Agnes Smedley, która przeniosła się wówczas z San Francisco do Nowego Jorku, przyłącza się do grupy pacyfistów, socjalistów i anarchistów, którzy zajmują się propagandą antymilitarną. Od czasu do czasu współdziała także z komunistami. Niebawem jednak życie jej wkracza w świat zupełnie odmienny, świat, który stwarza dla niej wśród szarych drapaczy amerykańskich kolorową bajkę wschodnią. Agnes Smedley zbliża się do działaczy hinduskich, którzy także i na drugiej półkuli rozciągnęli sieć swojej agitacji. Dotychczasowi przyjaciele polityczni są zgorszeni niespodziewanym romansem towarzyszki, która porzuciwszy stanowisko walki klasowej dała się pociągnąć hasłom nacjonalistycznym. Urok tego nowego, nieznanego dotychczas środowiska był jednak zbyt silny, aby można było oprzeć mu się w imię marksowskiej prawowierności. Agnes Smedley poznaje historję i strukturę duchową Indyj, poznaje ludzi zupełnie odmiennych, ludzi powściągliwych, skupionych i szlachetnych, ludzi nienawidzących całą swą psychiką amerykańskiego snobizmu i amerykańskiej blagi.

Przez długi czas żyła w kręgu oddziaływania trzech nowych przyjaciół. Był to uczony Sardar Ranjith Sing i dwaj młodzi studenci: Viren i Kumar.

„Często myślałam nad tem — pisze ona — jak ułożyłoby się tego rodzaju współżycie z trzema Amerykaninami. Z nimi jednak żyłam tak, jakby to byli moi bracia i mój ojciec. I dlatego czułam się u nich jak we własnym domu, jakgdybyśmy do siebie wzajemnie należeli. Wkrótce zrozumiałam, jak bardzo jestem do nich przywiązana, a oni musieli także polubić mnie na swój sposób, jakkolwiek ich zachowanie było zawsze jednakowe, uprzejme, lecz nie pozbawione pewnego dystansu. Nie zapomnę nigdy tych godzin, które upływały na rozmowach o przeczytanych książkach. Zdawało się, że odbywamy razem długie podróże poprzez całe Indje. Wyłaniały się przed memi oczyma osobliwe twierdze górskie z powiewającemi chorągwiami, to znowu szerokie rzeki, olbrzymie pustynie pokryte wśród wczesnego ranka miękkim, szarym puchem. Woddali widać było blask purpurowy, a do uszu moich dochodził odgłos dzwonków stada krów, które wieczorem wracało do domu i roznieciało ku zachodzącemu słońcu obłok kurzu.

Tak mijały godziny jak we śnie."

Zczasem Agnes Smedley poczęła brać żywy udział w konspiracji hinduskiej. Ponieważ wpływy Anglji były wówczas w Ameryce bardzo znaczne, spiskowców azjatyckich prześladowano z nieubłaganą zaciętością. Sprzymierzoną z nimi Amerykankę wtrącono również do więzienia i poddano torturom śledczym.

Agnes Smedley więziona była w okrutnej celi lodowej. Przez szereg dni nie dawano jej ani jeść, ani pić. Pomimo to jednak wytrwała i nie wyznała żadnej tajemnicy. Kiedy wszystkie usiłowania śledcze rozbiły się o jej niezłomny opór, przewieziono ją do ponurego więzienia kobiecego, skąd uwolniona została dopiero po skończeniu wojny.

Powróciła wówczas znowu do zawodu dziennikarskiego. Przytem żyła po męsku, zmieniając kochanków, jak rękawiczki. Wszelkie propozycje małżeńskie odrzucała bez wahania. Ale niebawem miała poznać raz jeszcze słodycze i ciernie wielkiej miłości.

Anand Manvekar, działacz hinduski, który uciekł z więzienia w Delhi i schronił się do Ameryki, był mężczyzną, którego można określić jako ideał skończony. Niesamowita piękność księcia z bajki łączyła się z najwyższą kulturą duchową. Agnes Smedley uległa jego urokowi od pierwszej chwili i po tygodniu znajomości została jego żoną. Zdawało się, że żadna chmura nie jest w stanie przesłonić jej szczęścia. Ale tak się tylko zdawało... Subtelny Hindus był zazdrosny, zazdrosny o jej przeszłość, która była niewątpliwie zbyt swobodna. Co najgorsza, kochankiem jej był między innymi jeden z działaczy hinduskich, którego potem zdemaskowano jako szpiega. To wywołało bardzo przykre komplikacje, a wreszcie rozwód i wyjazd do Europy.

Tak zamyka się pierwszy okres życia kobiety samotnej i wyzwolonej już ze wszystkich więzów.

Teorja, którą stara się przeprowadzić w swej książce Agnes Smedley, jest bardzo problematyczna. Ale trzeba raz jeszcze powtórzyć, że największą zaletą tej osobliwej spowiedzi jest jej szczerość bezwzględna, dotychczas niebywała. Dostarcza ona tedy materjału, który każdemu przydać się może. A o tendencje mniejsza...

STANISŁAW DZIKOWSKI

SZTUKA, KTÓRA UMIERA

FOTOGRAFJE ZE ZBIORÓW TOW. POPIERANIA PRZEMYSŁU LUDOWEGO W WARSZAWIE

JEŻELI mówi się dzisiaj bardzo wiele o odrodzeniu rzemiosła i przemysłu domowego, to jednocześnie nie ulega żadnej wątpliwości, że artystyczny przemysł ludowy nie może w obecnych warunkach spodziewać się jakiegoś znaczniejszego rozwoju, lecz przeciwnie walczyć musi z coraz to groźniej przejawiającemi się trudnościami. Cywilizacja naciskająca ze wszystkich stron pozbawia go przedewszystkiem wartości najważniejszej, którą osiągał przez nasycanie codziennej potrzeby. Ludzie, którzy chodzili w ubraniach własnego wyrobu, którzy zdobili wedle starodawnej tradycji chatę od zewnątrz i wewnątrz, teraz zadowalają się produkcją fabryczną, o wiele tańszą i łatwiejszą do nabycia, chociaż mniej trwałą i pozbawioną najczęściej wszelkich walorów estetycznych. Niestety, ten proces jest zjawiskiem nieuchronnem, zjawiskiem koniecznem, któremu przeciwdziałać znaczyłoby nieraz powstrzymywać postęp i przystosowanie się do warunków nowoczesnych.

Sztuka ludowa jako sztuka prymitywna złączona jest najczęściej z formami życia prymitywnego, z pewnego rodzaju zacofaniem i zastygłym konserwatyzmem. Utrzymuje się ona w najpełniejszym rozkwicie tam, gdzie nie dociera jeszcze cywilizacja z gromadą sprzymierzeńców.

Tak jest również i w Polsce. Poza niewielkiemi wyjątkami widzimy największy rozwój twórczości ludowej w okolicach głuchych i odsuniętych od wielkiego gościńca postępu. A więc na Kurpiach, we wszystkich województwach kresowych, na Huculszczyźnie, i t. d. Mamy wprawdzie znaczny ośrodek etnograficzny w bogatem i dobrze zagospodarowanem Księstwie Łowickiem, ale ta sztuka łowicka jest podtrzymywana dzisiaj wysiłkiem niemal całego społeczeństwa, a poza tem wykazuje znaczne zniekształcenia i wpływy postronne. Jeśli jednak chcemy znaleźć twórczość ludową w najczystszej formie, szukajmy jej tam, gdzie kultura rolnicza i gospodarcza jest bardzo niska, gdzie się jeździ po bocznych drogach, gdzie są kurne chaty i najprymitywniejsze sposoby życia. Wszystko to, cośmy oglądali jako zjawisko rewelacyjne na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu z takich właśnie pochodziło okolic.

Z tego wynika, że sztuka ludowa musi zczasem podupadać i ginąć.

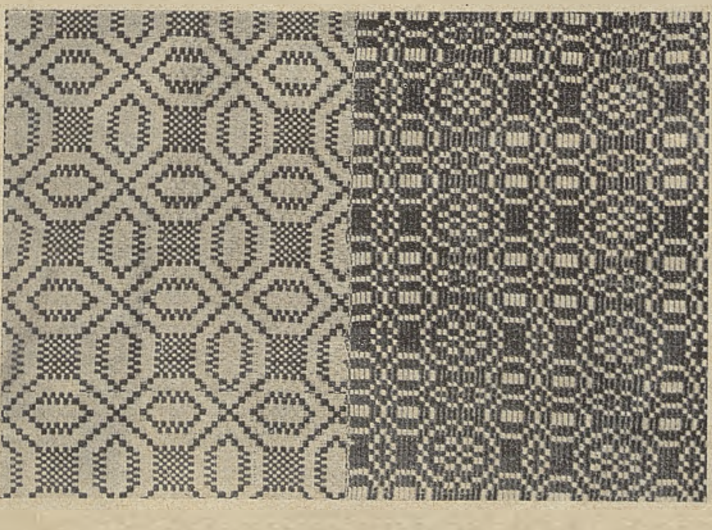
Można jednak przy umiejętnej pomocy ocalić częściowo i utrzymać to, co jest w niej najbardziej wartościowe, a mianowicie pradawną kulturę artystyczną. Aby się to jednak stało, trzeba rozumnego współdziałania zarówno państwa jak i całego społeczeństwa.



Motywy haftowanych kołnierzy. Kurpie, pow. pułtuski, woj. warszawskie



Haft łowicki



Tkaniny ludowe. Wileńszczyzna



Haft łowicki



Czepek mężatki, Kurpie, pow. pułtuski, woj. warszawskie



Wycinanka jednokolorowa (zielona), Kurpie, woj. warszawskie



Fartuszek kurpiowski

Dla Polski jest to zagadnienie niezmiernie poważne, skoro uświadomimy sobie, jak wielka część naszej ludności pracuje w najrozmaitszych gałęziach twórczości ludowej.

Weźmy dla przykładu dziedzinę najważniejszą i zatrudniającą największą ilość pracowników, a mianowicie: tkactwo.

Tkactwo, w którem przeważnie pracują kobiety, zatrudnia około miljon domowych warsztatów i produkuje rocznie za kilkadziesiąt miljonów towaru.

Znaczna część tej produkcji przeznaczona jest na użytek domowy.

I właśnie takie zastosowanie praktyczne posiada dla tej produkcji największą wartość. Nie jest w stanie go wynagrodzić ani zastąpić. Kiedy chłop zaczyna ubierać się w płótno i sukno fabryczne, kiedy na stole pojawia się serweta kupiona w miasteczku, produkcja ludowa traci najcenniejsze podstawy.

Tak jest niemal w każdej dziedzinie tej umierającej sztuki.

Wprawdzie nasze wyroby ludowe są poszukiwane w Polsce, wprawdzie zdobywamy dla nich tu i ówdzie zbyt na szerokim świecie, ale trudnoby było nasycić w ten sposób np. miljon warsztatów tkackich. Zagadnienie przemysłu ludowego istnieje wszędzie i na wszystkich rynkach światowych spotykamy się z ekspanzją prymitywnej twórczości, nawet azjatyckiej i afrykańskiej. Dla człowieka znudzonego cywilizacją współczesną jest to nieraz nowina ciekawa, czasami nawet objawienia, ale nigdy potrzeba stała i niezmienna mas szerokich. Tak więc i polska sztuka ludowa musi pomału zanikać i ograniczyć się wreszcie do małego zastępu odbiorców - smakoszy.

Działające na terenie całej Rzeczypospolitej Tow. Popierania Przemysłu Ludowego zajmuje się tym całym skomplikowanym procesem przetwarzania i usiłuje przeprowadzić nieuchronny kryzys w formie najbardziej łagodnej i dla całego społeczeństwa korzystnej. Niewątpliwie może być tutaj także mowa o przystosowaniu niektórych dziedzin do potrzeb życia współczesnego, do przemiany przemysłu ludowego na bardziej praktycznie pojęty przemysł domowy. Zwłaszcza w garncarstwie i koszykarstwie jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

Najważniejszem zadaniem całego społeczeństwa jest, abyśmy zdołali wziąć i utrzymać z bogatej jeszcze sztuki ludowej dzisiejszej to wszystko, co posiada ono najbardziej wartościowego i oryginalnego. W warunkach dzisiejszych należy popierać jej jakość, a nie ilość, jak to się dotychczas działo. Trzeba w sposób bezwzględny odrzucić to wszystko, co sobie przyswoił bezmyślny snobizm „ludowości”. Oddzielić ziarno od plew i zanieść je do śpichrza naszej kultury narodowej.



Koszula, pow. włodawski, woj. lubelskie, właściciel: Bandarczuk Ulana

ZBIORY MIEJSKIE*

NIE WIEM czy wiele znalazłoby się miast mogących się równać ze Lwowem pod względem ofiarności i szlachetności porywów! Niezawodnie są inne czcigodniejsze splendorem, ważnością i ilością zabytków, niema jednak drugiego równie ofiarnego i wiernego tej Rzeczypospolitej, która może niezawsze doceniała i docenia znaczenie historyczne, kulturalne i państwowe tego miasta o chlubnej i wielkiej przeszłości a przygasłej chwilowo teraźniejszości. Dowodów aż nadto, dość wspomnieć wszystkie wszechnice polskie obsadzone w poważnej mierze siłami lwowskiemi, wymienić najwyższe posterunki fachowców, mężów stanu, przedstawicieli literatury i sztuki. Możnaby bez przesady powiedzieć, że większość nazwisk, któremi młode państwo utrwala wśród przeciwności swój byt i istność, to synowie niedocenianego Lwowa.

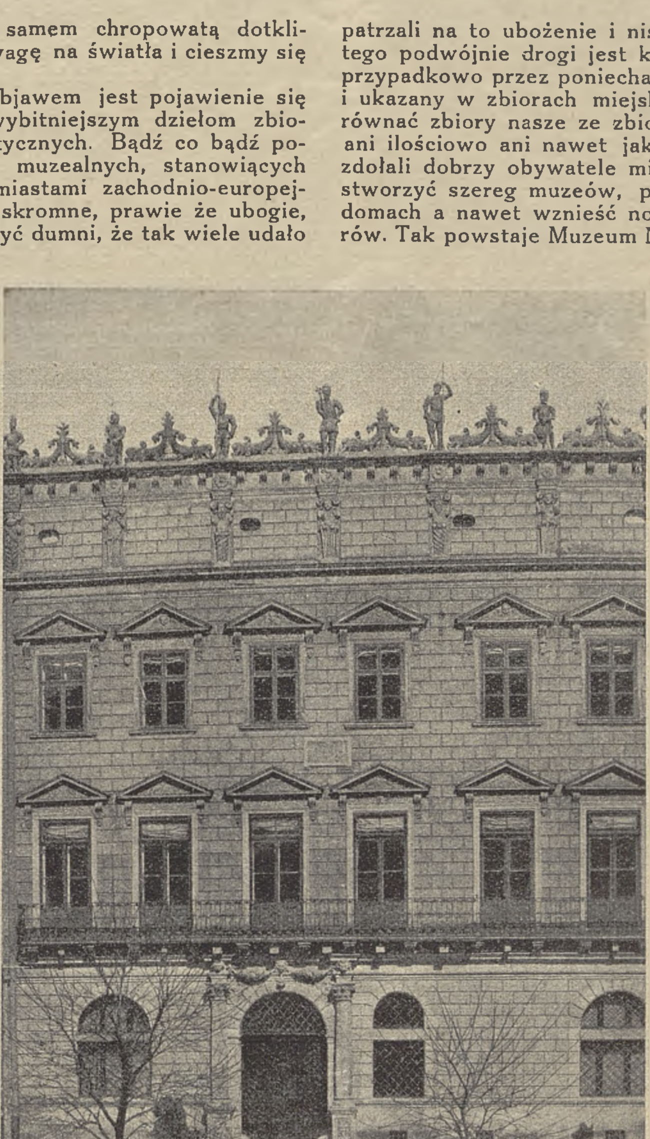


MUZEUM HISTORYCZNE MIASTA LWOWA (CZARNA KAMIENICA)

Naturalnie, że wśród tak wielorakich świateł niebrak i cieni. Wiele w tem mieście niedomogów, zaniedbań, przeoczeń, rzeczy smętnych i przykrych, ale to wszystko w miarę oddalenia lub uogólnienia traci wyrazistość, a tem samem chropowatą dotkliwość. Skrzętnie zatem zwracajmy uwagę na światła i cieszmy się ich istnieniem.

Dlatego zewszechmiar radosnym objawem jest pojawienie się pięknego albumu, poświęconego najwybitniejszym dziełom zbiorów miejskich historycznych i artystycznych. Bądź co bądź posiada Lwów pięć poważnych skupień muzealnych, stanowiących własność gminną. W porównaniu z miastami zachodnio-europejskiemi, to co posiadamy jest bardzo skromne, prawie że ubogie, ale jak na nasze stosunki, możemy być dumni, że tak wiele udało się zgromadzić zabytków wśród wszelkich przeciwności, nieraz niepośledniej wartości historycznej lub artystycznej. Naogół muzea nasze stosunkowo są bardzo słabo znane mieszkańcom naszego miasta, dlatego tem lepiej, iż po raz pierwszy pojawia się publikacja, na stu planszach, w doskonałych odbitkach rotograwjurowych, oddająca najlepsze dzieła i zabytki. Lwów, siedziba starej i barwnej kultury, łączącej w sobie pierwiastki wschodnie i zachodnie, niestety dzięki smutnym kolejom losu i wypadków dziejowych bardzo nielicznemi dzisiaj pomnikami i zabytkami tę świetną przeszłość ukazuje. Od czasu pierwszego rozbioru Polski (1772) Lwów, przeszedłszy pod panowanie Austrji, spotkał się z niszczycielską działalnością zaborcy, który wszelkiemi sposobami starał się usunąć wszystko, coby tylko Polskę i jej swoistą kulturę przypominać mogło. Tak więc zburzono dawne szacowne mury, fortyfikacje i baszty miejskie, kościoły, cerkwie i klasztory zamieniano na budowle użytkowe nowych władz, inne zabytki i dzieła sztuki zapamiętale niszczono, wywożono, sprzedawano, a broń starożytną łamano i sprzedawano handlarzom, jako łom metalu. Skarbce kościelne zabrano do mennic austrjackich, a wraz z niemi ginęły bezpowrotnie najcenniejsze okazy starej i pięknej sztuki złotniczej, tak ongiś we Lwowie kwitnącej. Z lekkiem sercem pozbywano się wszelkich świadków czasów dawnych, Ratusz ogołocono z pięknych i starodawnych portretów królewskich, katedrę ze wszystkiego co można było wynieść, katedra ormiańska podzieliła również los świątyń innych obrządków, tracąc jednak niepomiernie rzadkie okazy sztuki Ormian, za nią wyrabowano cerkwie z prastarą wołoską na czele i synagogi. Reszty dokonały bombardacje i pożary w roku 1848, a najwięcej szkody dokonała jakaś lekkomyślna chęć modernizacji i hołdowania nowej modzie, wiejącej coraz zapamiętalej od nowej, naddunajskiej stolicy.

Jak zwykle ocknięto się wtedy, kiedy już i nie było czego ratować. Lwów średniowieczny, Lwów obronny, Lwów siedziba odrębnej kultury, kształtującej się pod bezpośrednim wpływem Wschodu, należał już tylko do wspomnień ludzi starych, którzy własnemi przerażonemi oczyma patrzali na to ubożenie i niszczenie drogiego sobie miasta. Dlatego podwójnie drogi jest każdy dzisiaj zabytek, ocalony gdzieś przypadkowo przez poniechanie, z zapomnianego wydobyty lamusa i ukazany w zbiorach miejskich. Z tego powodu nie mogą się równać zbiory nasze ze zbiorami innych szczęśliwszych narodów, ani ilościowo ani nawet jakościowo. W najcięższych warunkach zdołali dobrzy obywatele miasta, rządzący jego teraźniejszością, stworzyć szereg muzeów, pomieścić je w starych historycznych domach a nawet wznieść nowe gmachy dla bogacących się zbiorów. Tak powstaje Muzeum Narodowe im. Króla Jana Sobieskiego, Muzeum Historyczne Lwowa w czarnej kamienicy i Muzeum Przemysłu Artystycznego oraz zawiązek Galerji Narodowej, a nadto Zbiory Bolesława Orzechowicza wraz ze Zbiorami Władysława Łozińskiego. W jak trudnych warunkach dokonano tego wszystkiego, wiedzą może nie wszyscy! O wiele łatwiej zdajemy sobie sprawę z tego, co dalej czynić należy i że jeszcze jest niepomiernie wiele do zrobienia.



DOM SOBIESKIEGO WE LWOWIE

Wytyczną musi być przeświadczenie o konieczności gromadzenia przedewszystkiem zabytków sztuki rodzimej, związanej przedewszystkiem z miastem i jego przeszłością, i ogólno-polskiej sztuki malarskiej. Gromadzenie dzieł sztuki światowej przenosi możność naszą i dlatego raczej należy się skupić do dokonania tego co możliwe, bez trwonienia czasu, sił i energji na rzeczy wprost niemożliwe. Wśród zgromadzonych dzieł sztuki malarskiej od XVIII wieku po dzień dzisiejszy spotykamy nazwiska takie jak Czechowicz, Chodowiecki, Bacciarelli, Grassi, Orłowski, Michałowski, Norblin, Peszka, Pitschman, Rejchan Józef i Alojzy, Schwejkart, Schlegel i Stattler, a z nowszych Brandt, Chełmoński, Chlebowski, Czachórski, Fałat, Gerson, Grabowski A., Grottger (Szkoła szlachcica i Wojna), Kossak J. i Wojciech, Kotsis, Kwiatkowski L., Leopolski W., Malczewski J., Matejko J., Mehoffer, Merwart, Pruszkowski W., Siemiradzki H., Stanisławski J.,

* Muzea gminy miasta Lwowa. — Nakładem gminy miasta Lwowa 1929. — Wydawnictwo obejmuje 108 str. druku i 100 tablic reprodukcyj. Tekst z 6. ilustracjami. Wytłoczono egzemplarzy numerowanych 1000. Cena 65·— zł.

Tepa i Wyspiański S. — Prawdziwą perłą zbiorów jest poczet królów i książąt polskich w liczbie 44 Jana Matejki, pomieszczony w zbiorach Orzechowicza.

Z tego pobieżnego zestawienia widać, co zdołano zdziałać w ciągu paru lat dziesiątków, w warunkach jak najtrudniejszych, wliczając w to lata wojny światowej i związanych trudności z wojną konstytuującą nową Polskę. Widać w tem olbrzymią sumę wysiłków, starań, zabiegów, a nadewszystko umiłowanie miasta o bogatej i świetnej przeszłości, choć niewesołej teraźniejszości. I kiedy spoglądamy na te rosnące nieustannie zabytki, na ich doskonałe i piękne w gmachach historycznych pomieszczenie i na coraz pełniejszą ich całość, ogarnia zdumienie przechodzące w trwałe uznanie dla tych, których trudem ofiarnym tego wszystkiego się dokonało i dokonuje.

Omawiana publikacja jest najlepszym tego dowodem, mogącym przekonać największych sceptyków. Druk doskonały oficyny A. Goldmana i nadzwyczaj staranny, ustęp wstępny dobrze i rzeczowo ujęty przez dra A. Czołowskiego, dobór bardzo sumiennie zestawionych i doskonale wykonanych ilustracyj w tłoczni Drukarni Narodowej w Krakowie zasługuje na szczerą pochwałę i uznanie. Bez przesady powiedzieć można, że żadne z miast naszych nie może poszczycić się tak piękną i doskonałą publikacją.

STANISŁAW MACHNIEWICZ

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

WŁODZIMIERZ JAMPOLSKI: „STEFAN ŻEROMSKI — duchowy wódz pokolenia". — Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej. — Kraków 1930.

Jestto rozszerzone wydanie studjum z 1924 roku — rozszerzone o omówienie „Przepióreczki" i „Przedwiośnia". W przedmowie zaznacza autor, iż „jest w tem szczęśliwem położeniu, że nie musi niczego odwoływać, niczego się zapierać i niczego żałować".

To wszystko prawda. Jednakże śmierć stwarza dystans, którego niepodobna nie dostrzec. Odsuwa twórczość niejako na drugi, dalszy brzeg rzeki. Zmiana perspektywy narzuca się nietylko oczom krytyka, ale nawet wyznawcy.

Książka p. Jampolskiego jest głosem wyznawcy. To stwierdzenie nie kwalifikuje jej, lecz ją kataloguje. Jestto głos pokolenia zżeranego tęsknotą do wolności, które w Żeromskim, przez niego i pod jego egidą przeżywało wszystkie swe miraże i udręki.

Żeromski był f e n o m e n e m, zjawiskiem. Książki jego, jak mówi Brzozowski, p r z e ż y w a ł o się. Kto je tylko c z y t a ł, mógł nawet zrezygnować z lektury. Twórczość snuta z genialnego serca, sercem była chwytana przez społeczeństwo. Emocjonalnie wcielał on ideał twórcy na przełomie dziejów, ogarniającego cały horyzont zbiorowości polskiej, jej spojrzenie na przeszłość i niepokój teraźniejszości. Po odejściu Żeromskiego zostali p i s a r z e mniej lub więcej zdolni i — jak dotąd — polityczny renesans Polski nie jest renesansem jej piśmiennictwa.

To poczucie próżni, które się dotąd nie usunęło, a raczej konieczność stopniowego oswajania się z brakiem, najlepiej świadczy o wielkości Żeromskiego. Coś podobnego stwierdza Jampolski na końcu swego studjum, lecz mówi tam jednocześnie o wciąż trwającej żywości dzieła Żeromskiego. W tem miejscu uczynić trzeba pewną dystynkcję: ludzi przedwojennych łączy z książkami jego związek serdeczny, taki jak np. z okresem młodości. Zbyt głębokie było doznanie, by nawet po latach można było brać do ręki Żeromskiego jak każdą inną książkę. Ale już perspektywa czasu robi swoje: chropowatości i wyskoki oświetla znacznie wyraźniej, gdy stosunek do dzieła uległ zrównoważeniu. W istocie — „zmienia się gleba psychiczna narodu". Niema na to rady na tym świecie wiecznych przemian. Trylogja „Walka z szatanem", która przy ukazaniu się budziła liczne zastrzeżenia, dziś budzi ich daleko więcej. Nawet najwspanialszy utwór Żeromskiego „Popioły" posiada skazy w rodzaju „Okna skalnego". Jakiś rys, który możnaby nazwać zbójnickim, czyni spustoszenia w tej przedziwnej twórczości. On zniekształca „Dzieje grzechu", „Białą rękawiczkę", „Turonia", „Charitas". Ponadto — wyszliśmy już z domu niewoli i inne nas owiało powietrze. Żeromski zdawał sobie z tego sprawę, szedł z żywemi naprzód i sięgał po nowe, państwowe życie Polski. Cieszył się, iż literatura może się nareszcie pozbyć tendencji i otwarcie przyznawał w swej skromności wielkiego człowieka, że propagandą świadomie „psuł do gruntu jaką taką wartość artystyczną swych pisanin". Ale tworzyć już inaczej nie umiał — duszę miał smutną do głębi i „Wiatr od morza" wcale nie jest powieścią o państwowości polskiej, ani powieścią radosną, jak chce Jampolski. Smętek podgryza ją, jak podgryzał dawniejsze utwory Żeromskiego. „Przedwiośnie" też nie wykazuje wyzwolenia od problemów społecznych. Natura twórczości Żeromskiego, jego zamyślanie się nad życiem polskiem i sposób docierania do dna — pozostał ten sam.

Studjum Jampolskiego cechuje obok wnikliwej subtelności wolna od szkolarstwa swoboda. Ona czyni analizę ciekawą i żywą, idzie po linji zainteresowań krytyka, uwydatniając szczegóły, podkreślając bystrość spostrzeżeń. Ale taż sama swoboda nie pozwala czytelnikowi zorjentować się w metodzie studjum, ani skrystalizować sobie podstawy podziału jego na poszczególne ustępy. Wskutek tego zlewają się one niemal z sobą, z wyjątkiem rozdziału o „Człowieku walczącym" i ostatniego, poświęconego biografji Żeromskiego, którą, po ukazaniu się książki Noyszewskiego, wyzyskano dosyć oględnie. Bardzo trafne jest osądzenie „Przedwiośnia", doskonały rozbiór „Przepióreczki" z tą uwagą o Przełęckim: „Nie wiemy, czy Przełęcki jest człowiekiem, czy aniołem, i zadajemy sobie pytanie, czy anioł może naprawdę cierpieć, czy może przeżywać tragedję, czy droga poświęcenia najwyższego, niedostępna dla innych, nie jest dla niego — zbyt łatwa, o ile wogóle dla niego istnieje." Bardzo inteligentne są stwierdzenia wewnętrznej plastyki postaci Żeromskiego, wielopłaszczyznowości jego powieści i większej ich dramatyczności od dramatów tego pisarza.

Pominięto — niewiadomo dlaczego — „Puszczę jodłową", wspaniały poemat o górach świętokrzyskich, zawierający dużo danych autobiograficznych i rozjaśnień twórczości, pobieżnie potraktowano „Elegje" i „Wspomnienie o Adamie Żeromskim". Można też było — o ile szło o „wodzostwo" Żeromskiego — uczynić zestawienie jego pod tym względem z Sienkiewiczem. Można było jako piewcę morza porównać Żeromskiego z Conradem. I — może jednak należało uwzględnić literaturę o Żeromskim, zwłaszcza najnowszą.

Zamieszczony na czele książki list Żeromskiego, dziękujący za przesłanie pierwszego jej wydania, stanowi dla autora najwłaściwszą ocenę jego pracy.

IDA WIENIEWSKA

MARJAN CZUCHNOWSKI: „PORANEK GORYCZY". — Bibljoteki studwudziestu liber octavus. — Poznań 1930. Wyd.: Jan Kuglin.

„Pożera mię kształt wszystek i pije dosyta:
zorza w wiatru chłodnym przepychu,
w włosy żyta
kolją woni mnię wpina pocichu"

Oto postawa twórcza Marjana Czuchnowskiego, ujawniona przejrzyście strofą „godziny poznania". Znamionuje ona ducha wiecznego niedosytu, który na rozstaju kształtu i barwy świata jest jakby kinematograficzną soczewką, chwytającą czule na taśmę pamięci ów chaos żyjący dookolnie.

Jednak, już w tym pierwszym, niewielkim zbiorku wierszy daje się zauważyć moment celowego ujarzmienia chłonności owej soczewki, a raczej skierowania jej ku ziemi. W Czuchnowskim, autorze „Poranka goryczy" wyczuwam mimo wszystko, jeśli nie antyurbanistę, to w każdym razie poetę, główne źródło pobudek twórczych znajdującego właśnie w przyrodzie, w ziemi. Ona jedna najsrebrniejszemi strofami płacze, spowija wybryzgi dalekiego żalu, ona bystrym spojrzeniem poety udziela entuzjazmu i siły, ona wreszcie jest najtwardszym, definitywnym argumentem umiłowania życia i świata.

„Cóż, że matowym połyskom nieba płaczą ludzie mali?
Że życie jest szorstkie, namiętne w goryczy.
Ty wiesz jak co roku łąka kolorów zdrowiem krzyczy,
choć wie, że kształt jej pełny, świst kosy powali...
....A ja ci mówię, że warto kochać świat.
Nikt nie żyje wiecznie!"

W życie „parujące jak dom pieśnią rumianych kołaczy" rzuca się poeta swoiście, nie pomagając sobie po drodze wydeptanemi schodami czy schodkami manier uświęconych. Jego wiersz, jego poetyckie słowo jest jak wybuch granatu twardy, a niespodziany. Dlatego trudno byłoby szukać w tej mowie szarpanej, skandowanej, to znowu melodją litą perlonej, czy odpryskami jeno metafor strzelającej, szukać spokojnego rytmu równych strof. Forma poetycka Czuchnowskiego, sposób budowania wierszy eksplozywny, rwany, niejako fotomontaż strzępów tłoczących się myśli — nie wiem, czy u przeciętnego czytelnika znajdą zrozumienie, uznanie. W wierszach Czuchnowskiego trzeba umieć wypełniać luki, wywołane dalekiem, choć najlogiczniejszem kojarzeniem napozór tylko rozbieżnych pojęć. Czuchnowski zresztą nie odnalazł się jeszcze w swej formie ostatecznej, jeszcze w dziedzinie tej kroczy drogą twórczego eksperymentu, co w każdym razie stawia go może na czele polskiej, młodej poetyckiej awangardy.

A teraz słów parę o formie zewnętrznej „Poranku goryczy". Prawdopodobnie wiadomo ogólnie co to jest „Bibljoteka studwudziestu" wydawana odniedawna w Poznaniu przez Jana Kuglina. Wiadomo chyba także, że nikt w Polsce tak pięknie i zarazem współcześnie, bez małpowań pseudorewelacyjnych graficzności, nie wydaje książek, jak właśnie Kuglin. Są to istne majstersztyki drukarskiego kunsztu, tłoczone w ograniczonej liczbie egzemplarzy, mianowicie studwudziestu (skąd nazwa wydawnictwa) na wytwornym papierze, pięknemi polskiemi czcionkami. Stanowić mogą chlubę polskiej pracy bibljofilskiej.

WŁODZIMIERZ LEWIK

HRABINA CZERWONEJ TULUZY

TRZECIA KORONA RIKI PIASTÓWNY

Ço que de plus beù ai vist
En vanegant per lou mounde:
La Poulougna, toun païs
Per si chata de peù blounde.

Marius André

Rika, córka Władysława II. i Agnieszki, dzieciństwo spędziła na wygnaniu w Niemczech, później jako żona Alfonsa VII. „cesarza Hiszpanji" panowała Królestwom Hiszpanji aż do śmierci Alfonsa w walce z Maurami w 1157 r. W r. 1162 poślubiła młodego i świetnego Rajmunda Berengara IV. władcę Prowancji Południowej; niedługo trwało szczęście, Rajmund Berengar zginął zabity w 1166 r. W rok potem wyszła za hr. Tuluzy, Rajmunda V, który dla niej rozwiódł się z Konstancją francuską.

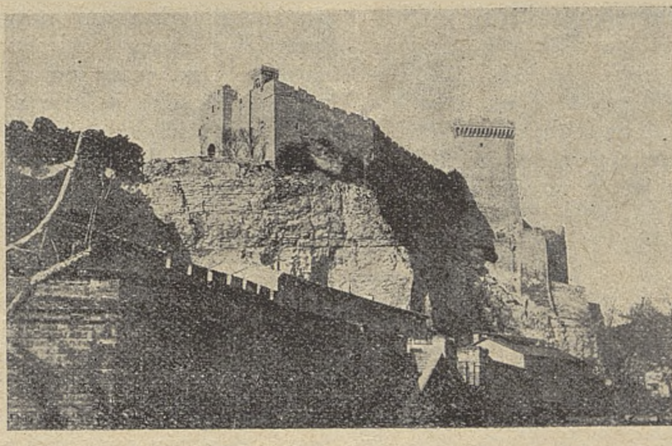
Po żółtej Hiszpanji, po fjołkowej Prowancji nadmorskiej, przyszła kolej na Tuluzę czerwoną. „Cesarzowa" Rika panowała Langwedocji, Nimom antycznym, Prowancji północnej i patronowała górskiemu Delfinatowi. Dotąd więcej mówiły nam o niej kroniki, teraz głos pierwszy przypadnie poezji. Trzy były jej królestwa: pierwsze było triumfalnym pochodem, drugie krótką sielanką, trzecie udręką.



ULICZKA W MALAUCÈNE

Rajmund V. z Tuluzy był najdoskonalszym wyrazem tego załamania duchowego jakie cechuje drugą połowę wieku XII. Człowiek bez sumienia, bez żadnych imperatywów wewnętrznych, splot przeciwieństw: lennik Francji, ciężko obraża Ludwika VII. i jego siostrę, swoją pierwszą żonę, — obrońca kościoła i protektor herezji, — zakłada klasztory i obdarza kacerzy, — wyklinany wiecznie i pokutujący, — materjalista i niewolnik ciemnego zabobonu, — niestały w planach, dwulicowy, działający pod wpływem kaprysu, albo wyrachowania. Złamał on świetne przeznaczenia Riki.

Dwaj pierwsi mężowie Riki, obyczajem Południa, nigdzie nie ruszali się bez żony. Kobieta była współpracownikiem, r z ą d z i ł a wspólnie, przewodniczyła sądom, odbierała hołd, dowodziła wojskiem, pasowała na rycerzy, słowem zupełne równouprawnienie. Rajmund Tuluski natomiast, zawsze „très parisien", naśladował we wszystkiem północną Francję, zostawiał żonę poza nawiasem zainteresowań i życia publicznego, oddając jej j e d y n i e dziedziny poezji. Rajmund jeździ sam, czy to do Paryża, czy do Owernji na sądy, czy bronić Tuluzy od Anglików. Wymagają ciągłych podróży walki z Alfonsem Aragońskim, występującym w roli opiekuna Miłej i zaprzeczającym Rajmundowi prawa do opieki nad ziemią pasierbicy. Z jednej pieśni Bernarda de Ventadour dowiadujemy się, że Rika odwiedziła La Mure, miasteczko delfinackie; nic dziwnego, wszak Rajmund był protektorem Delfinatu, z którego dziedziczką ożenił syna swego, małoletniego Alberyka.



ZAMEK Z BEAUCAIRE

W r. 1167 spotykamy Rikę i Rajmunda w Arlu, potem co rok wraca hr. Tuluzy nad Rodan. Zaś kroniki miasteczka Malauceny stwierdzają, że wobec nieustępliwej wrogości Tuluzy dla Riki, stałą siedzibą jego jest ta cicha miejscowość pod górą Ventoux, której zatęchłe, kręte uliczki, domy, przechody i wieże do dziś owe czasy pamiętają. Miasto miało formę „orła", skrzydła na wschód i zachód rozciągnęło. Siedm wież strzeże murów, pięć bram na łąki wylata i w platanowe gaje ku wzgórzom, skąd już widać delfinackie szczyty. Dotąd istnieje brama, która ghetto zamykała, gdzie za opłatą funta imbieru, funta pieprzu, funta wosku wonnego żydom mieszkać było wolno. Z zamku został tylko taras cyprysami sadzony, skąd widok na Alpy i Ventoux, a była w zamku niegdyś sala, która ludność całej okolicy mieściła. Tu na zamku malauceńskim pociechą Rice jest przyjaźń rodziny hr. Baux, związanej w tym czasie z Piastami. Częste przechody armji Fryderykowej przez dolinę R o d a n u, pozwalają dobiegać wieściom z dalekiej, a może teraz, w złych chwilach wspominanej, ojczyzny; choć zmieniło się wiele: Władysław ojciec nie żyje, bracia pogodzili się ze stryjami, wrócili na Śląsk; lecz przyjdzie wkrótce czas, gdy wygnany przez młodszych braci za swe krakowskie sympatje, Bolko, znów może na Zachód powrócić.

Rok 1171/2 widzi Rajmunda V. w Melgueil u pasierbicy Miłej, a raczej u babki jej Beatrix. Roją się plany, aby Rajmund raczej prawą dziedziczkę całej Prowancji, Miłą 10 letnią, narzeczonę własnego syna za żonę wziął, a matkę jej, znienawidzoną przez teściową, dumną „cesarzowę" Rikę odepchnął. Nikt się za nią nie ujmie: — cesarz pobity, ucieka ledwie z życiem przez Alpy; cesarzowa Beatrix zelżona, na ośle obwożona przez złorzeczące tłumy Medjolanu; bracia daleko, bez wpływu. Rajmund VI, syn 16 letni niech poślubi za to Ermesindę, przyrodnią s t r y j n ę Miłej, która właśnie owdowiała. Udręczona i wkońcu wydziedziczona, zdala od matki, zdala od A l f o n s a A r a g o ń s k i e g o opiekuna, s z a r p a n a przez ojczyma i babkę jak przez kruki na dziedzictwo czyhające, Miła wreszcie umiera. Rika jakby nie istpiała. Tem wygodniej to dla hr. Beatrix; na aktach niema jej podpisu. Pamiętajmy, że właśnie jest to czas, gdy rozbestwione żołdactwo cesarskie, bo rycerstwem tych b a n d y t ó w i g w a ł c i c i e l i nazwać nie można — zawlokło z Burgundji zarazę nad Rodan i dotknięta powietrzem Malaucena, wedle prawa średniowiecznego zamknięta była przez t. zw. *serrade,* t. j. nikt pod karą śmierci nie mógł wchodzić do miasta, ni wychodzić, domy zamurowane, były żywemi grobami, odcięte od życia i społeczności. Miasto nieistniało

i wraz z niem jego mieszkańcy. Tę hipotezę potwierdza szczegół, że gdy w rok potem Rajmund przywozi Ermesindę, synowę do zamku Malauceńskiego, ta, jako nieodporna, natychmiast umiera. Na razie więc Rika i Malaucena nie istnieją, należą do umarłych tak dalece, że gdy papież uwiadamia Rajmunda o powrocie pierwszej żony, Konstancji, z Ziemi świętej i wzywa go do pogodzenia się z nią, Rajmund się waha: Ale *serrade* się kończy, Rajmund wraca do Riki a Konstancja idzie do klasztoru w Soissons.

I jakby chcąc wynagrodzić Rice doznane krzywdy, czyni z niej Rajmund jeszcze raz królowę dnia. Przypominają się najświetniejsze dni Hiszpanji. Rika na plenarnym zjeździe w Beaucaire w r. 1174 jest naprawdę cesarzową Południa. Ma to i polityczny cel: Rajmund chce położyć kres walkom z Aragonem. Miła i Ermesinda nie żyją, jedna Rika mogłaby podnieść pretensje do Południowej Prowancji lub jej zięć Alfons Aragoński. Alfons bowiem odepchnął miraż świetnego małżeństwa z Eudoksją bizantyńską; pogardę rzuciwszy w oczy dziedziczce Komenów przybyłej do Montpellier, poślubia narzeczoną dzieciństwa, Sanszę, córkę Riki i Alfonsa VII. Rika staje się więc znowu osią działania. Matka i córka porozumieją się lepiej niż Rajmund i Alfons wrogowie.

C. d. n. ANNA LUDWIKA CZERNY

MAY SINCLAIR

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — Powieść, 23 —

— Mam wrażenie, że te piekielne traktory. Po twoim odjeździe uparł się doglądać ich. Twierdził, że jest do tego zmuszony, dopóki ciebie niema. Tymczasem nie mógł znieść ich hałasu. Eliot przypuszcza że w tem tkwi powód. No i odpowiedzialność — poczucie, że wszystko od niego zależy.

— Rozumiem. Nie powinnam go była opuszczać.

— Tak się zdaje.

— I co jeszcze mówił Eliot?

— Uważa, że może lepiejby było Colinowi na fermie aniżeli tutaj. Mówi, że może to dla Colina źle, sypiąc w pokoju, gdzie się dzieckiem najadł strachu. Że wszystko zazębia się jedno o drugie. Co więcej, powiada, iż Colin przez całe lata może podlegać tym atakom. Lada hałas, lada wysiłek czy podniecenie będzie je sprowadzał. Czy masz co przeciw temu, by się znów przeniósł na fermę?

— Ja? Oczywiście nie. Skoro mam pilnować jego *i* folwarku, będzie mi daleko łatwiej tam niż tutaj.

Albowiem co wieczór, w porze, gdy Colin miał iść spać, Anna przychodziła do Dworu. Sypiała w pokoju, przeznaczonym dla Madzi. Gdy Colin krzyknął, szła do niego i siedziała przy nim, aż usnął. Rankiem wracała na fermę.

Wykonywała to już od tygodnia i Colin czuł się lepiej.

Ale nie chciał się przenieść. Chyba — mówił — jeżeli przeszkadza Jerroldowi.

Jerrold zapragnął wiedzieć, czemu to Colin się wzdraga, i ten mu wytłumaczył:

— Czy ci nie przychodzi na myśl, że już i tak dostatecznie skrzywdziłem Annę? Wszystkie te przeklęte osły w sąsiedztwie myślą, że jestem jej kochankiem.

— Na to nic nie poradzisz. I nie ty jeden ją skrzywdziłeś. Musimy się postarać, by jej to powetować.

— Jakże mamy to zrobić.

— Nie wiem, nie wiem. Przedewszystkiem dam po łbie świniom, które ją obgadują.

— To na nic. Ona nie dba o plotki. Dba wyłącznie o nas. Zrobiła dla nas wszystko. A my wspólnemi siłami... nie uczyniliśmy nic dla niej. Nic zgoła. Nic jej dać nie możemy. Nie mamy jej do ofiarowania nic, na czemby jej zależało.

Jerrold milczał.

Po chwili się odezwał: — Zależy jej na folwarku Suttona. Sutton jest umierający. Kiedy umrze, dam jej ten folwark.

— Sądzisz, że to wszystko wyrówna?

— Nie, Colinie, nie sądzę. A gdybyśmy tak przestali o tem mówić?

— Zgoda. Słuchaj, kiedy przyjedzie Madzia?

— Wie to Bóg tylko; ja nie.

Pytał siebie w duchu, jak dalece Colin jest poinformowany.

3.

Luty minął. Była już połowa marca, a Madzia wciąż nie przyjeżdżała.

Pisała do niego miłe liściki, przepraszając, że tak długo siedzi, ale jej matka prosi, żeby została przez tydzień jeszcze. Gdy Jerrold napisał z prośbą o przyśpieszenie powrotu (co uczynił dla spokoju własnego sumienia), odpowiedziała, że nie chcą jej puścić, aż wypocznie zupełnie, ona zaś jeszcze nie wypoczęła. Niech Jerrold nie myśli, iż jest choć tycio chora, tylko poprostu zmęczona po zimowym rwetesie i szaleństwach. Jak rozkosznie będzie spotkać się znowu!

Kiedy zaś wypoczęła, zachorowała jej matka i Madzia musiała z nią pojechać do Torquay, gdzie siedziała i siedziała bez końca.

A Jerrold nie myślał wcale, by była choć tycio chora, ani nawet zmęczona, nie wierzył również w cierpienie Lady Durham. Wolał myśleć, że Madzia nie wraca bo nie chce, bo przenosi krewnych nad męża. Im dłużej trwała jej nieobecność, tem uparciej wmawiał to sobie. Oto on tutaj stara się być w porządku, usiłuje zachować się jak najgodziwiej, natomiast Madzia zostawia go samego z Anną i utrudnia mu najlepsze zamiary.

Anna już od tygodnia była na fermie, on zaś jej dotąd nie odwiedził. Lecz po ostatnim liście Madzi jął się zastanawiać, czy naprawdę musi dłużej trwać przy tem. Był chory i zdręczony. Dlaczego ma się czynić chorym i zdręczonym dla kobiety której ta jego choroba i udręczenie nic a nic nie obchodzi? Dlaczego nie ma pójść do Anny? Madzia zostawiła go jej.

I w niedzielę rano, raptownie, poszedł.

W nocy wziął tęgi przymrozek. Każda gałąź i sęk, każde źdźbło trawy, każda brózda na drodze otoczona była siwą futrzaną obwódką szronu, trzeszczącego pod nogą. Pił zimne, czyste powietrze jak wodę. Całe ciało doznawało wrażenia zimna i czystości. Idąc, czuł krzepkość swych napiętych mięśni. Własny ruch rozweselał go i podniecał. Szedł zobaczyć się z Anną.

Nie zastał jej w domu. Udał się między zabudowania gospodarskie, szukając jej. Zobaczył ją wpobliżu obór, wychodzącą z owczarni z jagniątkiem na ręku. Uśmiechnęła się do niego.

Miała na sobie swój strój roboczy — coś w rodzaju spodenek i płaszcza; wyglądała wspaniale. Szła z gołą głową. Czarne włosy zczesane były z czoła za uszy, i ogromnym luźnym węzłem zwisały z karku. Mróz przysłonił ten węzeł jakby siateczką odwiniętych krótkich włosków. Głowa Anny była niby głowa łowczyni Diany; nadałby się do niej sierp księżyca.

Śmieszne kędzierzawe ciałko jagnięcia wydawało się jeno spoidłem pomiędzy przedniemi a zadniemi nóżkami. Spoczywało w ramionach Anny; długie czarne nogi kołysały się w powietrzu. Pyszczek w kształcie młota zwisał na jej łokieć.

— To wchodzi w zakres Colinowych obowiązków, — rzekła.

— Co ty z tem uczynisz?

— Zabiorę do domu na kurację. Biedactwo zesztywniało z zimna. Możebyś poszukał w stodółce jakich starych worków?

Usłuchał i z workami w ręku poszedł za nią do kuchni. Anna przyniosła szmat starego koca, w który owinęła jagnię. Posłali przed ogniem łoże z worków i złożyli zwierzątko na niem. Zagrzała trochę mleka, umoczyła w niem palce, które zbliżyła do pyszczka jagnięcia, by się przekonać, czy będzie ssało.

— Nie wiedziałem, że one to potrafią, — uśmiechnął się.

— O tak, ssą wszystko. Gdy chwilę potrzymasz je na kolanach, zaczynają pełzać jak szczenięta i ssać ci guziki. Matka mu zginęła i wypadnie żywić je z ręki.

Wątpię, czy się uda.

— Ależ napewno. Uratuję je; umie już ssać doskonale. Powiedz o tem Colinowi. To on dogląda chorych jagniąt.

— Wstawszy patrzała wdół na owinięte w koc jagnię, gdy tymczasem Jerrold patrzał na nią. Twarz Ani była bosko tkliwa, jakby wszystka miłość świata skupiła się w jej sercu. Uczuł, że aż do śmiertelnej męki kocha tę rzewną, pochyloną twarz.

Podniosła oczy i spotkała jego wzrok, ciężki, bolesny; zobaczyła jego ściągnięte udręką oblicze. I znów się przestraszyła.

— Jerrold, ty j e s t e ś chory. Co ci?

— Cyt. Usłyszą. — Popatrzał na otwarte drzwi.

— Nie. On jest w kościele, a ona sprząta na górze.

— Możebyś zostawiła to bydlątko i poszła ze mną gdzieś, gdzie można porozmawiać.

— No to chodźmy.

Szedł za nią przez sień do małej drzewem wykładanej jadalki. Usiedli tu w fotelach po obu stronach kominka.

— Co ci jest? — powtórzyła. — Jesteś cierpiący?

— Cierpiący do niemożliwości.

— I odkądże?

— Odkąd mię opuściłaś. Kłamałem, mówiąc, że to z powodu Colina. Wcale nie.

— Więc z jakiegoż powodu? Powiedz mi, powiedz.

— Z tego, że cię nie widzę. Z powodu obłąkanego żywota, jaki pędzimy. Przyprawia mię to o chorobę. Nie masz pojęcia, co przechodzę. I nie mogę dotrzymać słowa. Ja... ja zbyt piekielnie cię kocham.

— Och Jerroldzie! czyż to aż takie cierpienie?

— Ty wiesz najlepiej.

— Nie chcę, żebyś cierpiał. Ale... kochany... jeżeli tak mię kochasz, jakżeś mógł ożenić się z Madzią?

— Dlatego, że cię kochałem. Dlatego, żem tak oszalał za tobą, iż pozatem nic mię nie obchodziło. Zdawało mi się, że żenić się czy nie żenić, to wszystko jedno.

— Ale skoroś jej nie kochał?

— Owszem, lubiłem ją. A i teraz — poniekąd. Madzia jest strasznie miła. Przytem... Widzisz, jechałem wówczas do Francji i mniemałem, że zginę napewno. Takie szczęście wojenne jak moje nie mogło wszak trwać wiecznie. Chciałem być zabitym.

— I dlatego nie wątpiłeś, że się to stanie. Zawsześ uważał, że zdarzyć się musi to, czego pragniesz.

— Byłem bezwzględnie przekonany. Nigdy w życiu nie byłem tak stropiony, jak kiedy wyszedłem cało i zdrowo z tej wojny. Lecz nawet wówczas byłem dobrej myśli — aż do chwili, kiedym otrzymał list Eliota. Wówczas się dowiedziałem, że gdybym się tak głupio nie pośpieszył, mógłbym poślubić ciebie.

— Biedna Madzia.

— Biedna Madzia. Lecz ona nie wie. A choćby wiedziała, niebardzoby to ją zapewne obeszło. Ożeniłem się z nią, gdyż sądziłem, że mię lubi — i gdyż sądziłem, że mię zabiją, nim zdążę do niej wrócić. Ale jej to wszystko jedno. Nie potrzebujesz się więc turbować o Madzię. I już nie odejdziesz, co?

— Nie odejdę, dokąd zechcesz mię tu mieć.

— Doskonale.

Spojrzał na zegarek.

— Trzeba uciekać. Zaraz wrócą z kościoła. Nie chcę, by mię widzieli, ponieważ przyjdę jeszcze wieczorem. Musimy strasznie się pilnować... Ale, ale: m o g ę przyjść wieczorem?

— Tak.

— O tejże porze co ostatniej niedzieli? Będziesz sama?

— Tak. — Głos jej brzmiał jakby nie należał do niej. Jakby kto inny, zupełnie jej obcy, zamiast niej odpowiadał.

Gdy odszedł, zawołała za nim:

— Pamiętaj powiedzieć Colinowi o jagnięciu.

Poszła na piętro, zrzuciła strój roboczy i ubrała się w bronzową suknię jedwabną, którą miała na sobie za ostatnią jego u niej bytnością.

Przejrzała się w lustrze i ucieszyła się, że jest ładna.

4.

Poczęła rachować godziny i minuty, które ją dzieliły od przyjścia Jerrolda. Minęła pora obiadu.

Całe popołudnie była niespokojna i podniecona. Błąkała się z pokoju do pokoju, jakby w poszukiwaniu czegoś, czego znaleźć nie mogła. Krążyła między stołowym a kuchnią. Opatulone w kocyk, jagnię spało po swym mlecznym podwieczorku. Ciałko jego było ciepłe w dotyku, a pod miękkiemi żeberkami Ania wyczuwała bicie serca. Jagniątko będzie żyło.

Druga. Wzięła ze stołu powieść, którą czytała przed przybyciem Jerrolda, i usiłowała ciągnąć dalej lekturę. Upłynęło dziesięć minut. Przeczytała trzy stronice, nie zrozumiawszy ani słowa. Myśl uporczywie wracała do Jerrolda, do dzisiejszego poranku, do wieczoru zeszłej niedzieli; powtarzała sobie wkółko ich rozmowę, widziała Jerrolda, każdy jego ruch, gest każdy, nagłe mrocznienie i rozjaśnianie się jego oczu, bolesny wygląd jego twarzy. Jakże ona go zapewne zraniła!...

Ten jego wzrok, jakgdyby zraniła go... Anna nigdy nie umiała znieść ludzkiego cierpienia.

Wpół do trzeciej.

Zrzuciła pantofle, nałożyła grube buty i płaszcz, poczem zrobiła dwie mile piechotą w stronę Medlicote, bez innej przyczyny niż ta, że nie mogła usiedzieć w miejscu. Kiedy wróciła, nie było jeszcze czwartej. Udała się do kuchni i znów patrzyła na jagnię.

Rozważała: A jeżeli Colin przyjdzie, kiedy Jerrold tu będzie? Lecz nie przyjdzie. Jerrold już to urządzi. Albo jeżeli Kimberowie zostaną w domu? Nie. Nigdy nie zostają. A jeśli nawet, no to cóż? Czemużby Jerrold nie miał jej odwiedzać?

Wydzwoniła czwarta. Kazała zapalić na kominku w dużej bawialni na piętrze, tam też podano jej herbatę. Pani Kimber spojrzała na nią, leżącą na kanapce z rękoma na podołku.

— Zmęczyła się panienka po całotygodniowej pracy, prawda?

— Trochę.

— I pewno brak panience p. Colina?

— Owszem, bardzo mi go brak.

— Na pewno przyjdzie do chorego jagniątka.
— O tak, zechce zobaczyć jagnię.
— I panience to nie szkodzi, że pójdziemy sobie z Kimberem?
— Bynajmniej. Nawet wolę to.
— Zawsze dziw mię bierze, — prawiła pani Kimberowa, — że panienka się nie obawia zostawać samiutka w domu. Ale Kimber powiada: Panna Anna niczego się nie boi. I jużci ma rację; toż to panienka była na wojnie, i wszystko takie.
— No, tutaj niebardzo jest czego się bać.
— Co to, to prawda. Chyba złych języków ludzkich,
— Te mnie nie straszą, moja Kimberowo.
— Słusznie, panienko. Tak być powinno.
I p. Kimberowa wycofała się.
Z obejścia doleciało brzęczenie wiader. To Minchin, dojarz, szedł do obory. A więc czas dójki, widocznie około wpół do piątej.
Piąta. Zatrzaśnięcie drzwi frontowych, potem furtki; głosy Kimberów na drodze wiodącej do Wyck.
Anna była sama.
Jeszcze tylko pół godziny i Jerrold będzie przy niej. Zegarem stało się teraz dla niej bicie serca. Co zajdzie w czasie jego pobytu? Nie wiedziała. Nie starała się przewidzieć. Wystarczało jej, że zbadała samą siebie i Jerrolda; że nie tumaniła siebie ani jego udawaniem, iż namiętność ich nie jest tem, czem w istocie była. Teraz widzi wszystko wyraźnie i w całej rzeczywistości. Tak dalej trwać nie może. Wkońcu coś się stanie. Anna nie była zdolna udawać przed sobą niewiedzy, że nadejdzie taka chwila, gdy mu się odda. Lecz czy to się stanie dzisiaj czy jutro czy w jakim innym zgóry wyznaczonym dniu, tego nie wiedziała. Zdarzy się to, jeżeli zdarzy wogóle, kiedy nie będzie się spodziewała. Nie żywiła zamiaru ani chęci przyśpieszenia tego.
Nie potrafiła myśleć. Wysiłki na nic się nie zdały. Młot serca głuszył myśli. Mózg pływał w jakimś ciepłym mroku, z którego co pewien czas wynurzały się imiona: Colin — Eliot — Madzia.
Madzia. Tylko imię, pusty dźwięk nawiedzający ją zawsze niby nieokreślona, słodkawa woń, niewiedzieć skąd dolatująca. Lecz zmuszało ją to do myślenia.
Cóż z Madzią? Okropieństwem byłoby wydzierać jej Jerrolda, jeśliby go kochała. Ale Ania go nie wydziera. Wszak nie może odebrać Madzi czegoś, czego ta nie posiadała nigdy. I Madzia nie troszczy się o Jerrolda; skoro się zaś nie troszczy, nie ma prawa trzymać go przy sobie. Chyba tylko prawo urzędowo-społeczne.
A przytem, co się stało, to się stało. Grzech przeciwko Madzi dopełnił się w sercu Jerrolda z chwilą, kiedy się od niej odwrócił. Cokolwiek jeszcze się zdarzy czy nie zdarzy, tamto już się nie odstanie. A Madzia nie będzie cierpiała. Nie dowie się.
Myśli znów zawirowały w owej ciemnej strudze. Nie mogła się dłużej zastanawiać.
Wpół do szóstej.
Drgnęła na odgłos otwieranej furtki. Był to Jerrold.

5.

Podszedł do niej pośpiesznie i wziął w ramiona. A jej umysł zatopiła ponownie owa ciepła, ważka ciemność. Nie czuła nic prócz bicia swych tętna o jego tętna, prócz wartkiego szmeru krwi w uszach. Schyliła głowę na jego pierś; on się skłonił i całował ją w kark, delikatnie, muskając gładką skórę podobną do płatków róży. Stali tak razem, przytuleni blisko, bliziutko. Splótł ręce za jej głową i przyciągnął ku sobie. Oparła czoło o te splecione ręce i wykręcała się tak, by go widzieć, zanim pochylił się i ucałował w usta.
Zwolnili uścisk; jakby z oporem, z trudem oderwali od siebie ramiona.
Usiedli, ona na kanapce, on w Colinowym fotelu.
— Czy Colin przyjdzie? — zapytała.
— Nie. Nie przyjdzie.
— Jagnię jest już zdrowsze.
— Ani mu wspominałem o jagnięciu. Nie życzyłem sobie, by tu przychodził.
— Czuje się dobrze?
— Zostawiłem go przy pianinie.
Mrok ustąpił z jej mózgu, a zamęt z jej zmysłów. Nic nie czuła, jeno wyrywanie się swego serca ku niemu w niezmiernej tkliwości, będącej litością napoły.
— Czy myślisz o Colinie? — rzucił.
— Nie. O nikim nie myślę, tylko o tobie jednym... T e r a z wiesz, dlaczego czułam się szczęśliwą, pielęgnując Colina. Dlaczego byłam szczęśliwą, pracując w twoim majątku. Bo to był twój brat, bo to była twoja ziemia. Bo nie było nic innego, cobym dla ciebie uczynić mogła.
— A ja dla ciebie nie zrobiłem nic. Tylko skrzywdziłem cię straszliwie. Nic ci nie dałem prócz niepokojów i niebezpieczeństwa.
— Mało sobie z tego robię.
— Tak, ale pomyśl. Aniu, najmilsza moja, to będzie sprawa nader ryzykowna. Czyś pewna, że podołasz? Czy się na pewno nie boisz?
— Wogóle niebardzo znam strach.
— Powinienem bać się za ciebie.
— Nie, nie. Nie bój się. Im to będzie niebezpieczniejsze, tem więcej mi dogodzi.
— Ty nie wiesz. Na dobrą sprawę, już te plotki o tobie i Colinie były trudne do zniesienia. Gdyby zaś wyśledzono ciebie i mnie, będzie jeszcze gorzej. Oczywiście nie wyśledzą nas, ale ryzyko zawsze istnieje. I byłoby to gorsze dla ciebie niż dla mnie, Aniu.
— Mniejsza o to. Pragnę tego. A przytem, właśnie dla ciebie byłoby to znacznie gorsze — z powodu Madzi. Ten jeden wzgląd wprowadza coś grzesznego w nasze stosunki.
— Nie myśl o tem, najmilsza.
— Nie myślę. Jeśli to grzech, niech będzie grzechem. Wszystko mi jedno, byleś był szczęśliwy. A jeśli Bóg ma ukarać które z nas, tuszę, że mnie ukarze.
— Bóg? Niema takiego Boga, któryby mógł ukarać c i e b i e.
— Nie obawiam się kary, o ile tylko ciebie nie dotknie ona.
Podeszła bliżej, osunęła się na podłogę i skuliła u jego stóp, kładąc mu głowę na kolanach, które mocno objęła rękoma.
— Nie chcę, żebyś cierpiał — mówiła. — Nie mogę znieść twego cierpienia. Ale cóż mam począć?
— Pozostań tak. Bliżej. Nie odchodź.
Pozostała więc, przyciskając twarz jeszcze ściślej, trąc się policzkiem o szorstkie jego sukno. Otoczył ją ramieniem i przytrzymywał; jego palce gładziły, gładziły jej kark, błądziły między delikatnemi korzonkami włosów, w słodkiej dla niej pieszczocie. Nerwy jej zadrżały niespodzianą, tajną rozkoszą.
— Jerroldzie, twój dotyk jest mi rajem.
— Wiem. Gdy mi nie wolno dotknąć ciebie, to dla mnie piekło.
— Nie wiedziałam. Nie wiedziałam. Gdybym tylko wiedziała...
— Teraz wiemy.
Zaległo długie milczenie. Od chwili do chwili czuła niespokojne jego ruchy. Westchnął, a jej serce się skurczyło. Wreszcie pochylił się nad nią, podniósł i posadził sobie na kolanach. Odrzuciła się wtył, skuliła w jego objęciach, z głową na jego piersi, zadowolona jak dziecko. (C. d. n.)

(Dokończenie)

KONGRES

JUŻ podają Biscuit Glacé Touti Frutti, pije się „Champagne réserve Claridge”, już roznoszą cygara, które uprzejmie zaofiarowała pewna firma. Skorzystała ze swej nazwy, nieco do tytułu zjazdu podobnej, żeby zrobić sobie reklamę.

Mowy: przyrzeczenia, zapewnienia, obietnice... Francuzów, Polaków, Szwedów, Hiszpanów... Niemcy nic nie obiecują, choć słuchają łatwowierności innych. Ostatni przemawia przewodniczący honorowego stołu, trzęsący się starzec. Minister żywiołu będącego samym ruchem. Mundur jego niebieski jaknajbardziej niezniszczona nadzieja, pas biały, niby bicz ze śniegu.

Wychodzą, wszyscy przesuwają się koło uprzywilejowanego stołu A. Przy stole tym było tylko kilka pań. Nawet raczej panien. Bardzo starych, bardzo brzydkich, ale bardzo dla dobra ludzkości zasłużonych.

Na obrusie pęki róż. Drżące ręce dygnitarzy zbierają je jak z łanu, i podają przechodzącym kobietom. Tym, które żadnych nie posiadają danych, żeby zasiadać na wysokich miejscach.

Kwiaty są zawsze — á propos. Każdemu można je ofiarować. I najwymowniejsze. Chociaż wymowa ich jest tak rozmaita.

Inną, nie tę białą, wybrałby jej różę...

Program ostatniego dnia kongresu zapowiadał całodzienną wycieczkę do Reims. Bardzo się zapóźniła, żeby do dworca, do którego dojeżdżał doskonały tramwaj „musieć” wziąć auto. Koniecznie czerwone, najnowszy model, śliczny, wygodny, do złudzenia własny, i doskonale harmonizujący z kolorem, w tym roku modnym, jej płaszcza.

Usunęła się w kąt... Było puste miejsce... Czuła na ręku ranny, ciepły, powitalny uścisk dłoni.

Szofer, jak prawdziwych turystów, wiózł koło Nôtre Dame, dopiero minąwszy mało dziś triumfalny Łuk Świętego Marcina, wjechał w dzielnicę handlową, gdzie o tej porze ciągną się wozy z bukietami rzodkiewek.

W zgiełku dworca o wszystkim najlepiej się zapomina.

Przez okna wagonu nabierała w oczy zieloność i bez, a także spóźnioną różowość dopiero teraz kwitnących jabłoni.

Zwiedzanie Reims zaczęło się od zwiedzania piwnic przepełnionych szampanem. Podzielono kongresistów na grupy. Jej w udziale przypadła z pewnością niesłusznie mało znana marka Heidsiech et Ce Monopole. Tu pouczyła się tajemnic wyrobu tego wina, w kredowych, z czasów rzymskich grotach, oglądała kilometry butelek. Wkońcu podano „vin d'honneur” w kieliszkach, które umiały wykazać wszystkie zalety napoju.

Na winie leżał biały śnieg.

Biletów, gdzie kto przy śniadaniu ma siedzieć, nie było, więc i pustego miejsca obok siebie nie miała.

Teraz puszystą czapą nakryty, oswobodzony z różnokolorowych sznurów, lał się szampan wszystkich firm. Humory zrobiły się szampańskie.

Trzeba jednak było śpieszyć do otokarów. Imieniem starej Francji Monseigneur Luçon miał opowiedzieć dzieje katedry i dzieło jej zniszczenia. Słuchały go różne ludy, nawet ten, który wszelkich starań dokładał, aby na miejscu gdzie stoi, trawa porosła.

Sławny na cały świat, w dniach chwały i klęski wierny strażnik wiekowych skarbów, zatrzymał się pod pomnikiem Joanny d'Arc.

Przysunęła się blisko, zostawiając przy sobie wolną przestrzeń. Zawisła oczyma na dobrych, mądrych oczach.

Dziewiątej dziesiątki dobiegający starzec mówił słowem, twarzą, bólem swego serca:

— Nie na to chrzczono tu Klowisa, nie na to koronowano Karola VII, żeby ogień... Ogień szedł po północnej wieży, nicią się przewijając przez koronki kamieni... Roztopił serca dzwonów, które ludzkim sercom o rzeczach niebieskich prawiły, złamał balustradę galerji, tam, prawie pod szczytem, gdzie na wielkie święta dzieci niewinnemi głosikami Bogu dzięki składały... Zgasił uśmiech najpiękniejszego anioła, tego co był uśmiechem Domu Bożego... Od żaru topniały ołowie obejmujące szybki witraży... Szkło pękało, płacząc nad swą dolą, spadały na ziemię rozpalone, różnokolorowe łzy... Teraz katedra jasna, jak dom. Czy katedra może być jasna, jak dom?

(— Pomyśl...)

— Ogień zniszczył przylegający do katedry gmach. Tam była sala, gdzie króle fetowano. Żadna kobieta do uczty takiej dostępu mieć nie mogła. Jeno Dziewica Orleańska... Ale ona żołnierzem była i wodzem. Ugasić można było te pożary, gdyby nie brak wody... Nieprzyjaciel przeciął rury. Trudno, takie jest prawo wroga...

(— Słuchaj...)

— To wszystko nic... To jedynie od Boga dopuszczona próba... Wieki za tobą, katedro, i wieki przed tobą... Przyszli inni, jak wy, z gałązką oliwną... Gołębie pokoju...

(— Gołębiu ty mój pokoju...)

Dygnitarze różnych narodów kłonili głowy przed wiarą, a marszałek Anglji pocałował pierścień rybaka Piotra.

Znów otokary. Zwiedzili amerykański szpital, gdzie chrapliwie mówiące bogate damy życie swe poświęcają francuskim dzieciom.

Potem Pompelle. Na tym forcie śmierci zebrała parę dzwoneczków. Kredowo-białe — niby zmielone ludzkie kości — ruiny, nie przeszkadzają kwiatom kwitnąć... Drobne groszki za podporki biorą strzępy drutów kolczastych;

Potem jeszcze coś oglądano i jeszcze...

Przykładem tym pouczona odwieczna jej nienawiść do wspólnych wycieczek, bardziej wzrosła. Choć może to nawet ciekawe, jeśliby patrzeć nie na rzeczy, ale na ludzi?

Rola samotnej kobiety nawet na najwięcej różnouprawnionych zjazdach jest trudna. Niepotrzebnie za wielu mężczyzn nią się interesuje. Opiekę ofiarowując — jak zaczepkę.

W torebce swej miała kilka biletów wizytowych: inżynjerów, lekarzy, pilotów. dziennikarzy. Każdy z kieszeni wydobywał swój tytuł do sławy: broszurkę informującą o wynalazku, régime swego sanatorjum, adres fotograficznego zakładu, gdzie bezpłatnie ją uwiecznią — do dzieła o kongresie.

— Dostanie pani jeden egzemplarz na Hollande.

— W ostatniej chwili — już tylko z Nim — pobiegła do katedry.

(— Zapamiętaj...)

Potem już tylko gorączka powrotu.

Pociąg stanowczością swego marszu upewniał, że szybko i szczęśliwie dojedzie do Paryża.

Czy gdyby tu był — w rzeczywistości — równieby mu była oddana, jak przez te kilka dni kongresu?

Ale kongres już się skończył.

AURELJA WYLEŻYŃSKA (Paryż)

NIEBEZPIECZNY WIEK MĘŻCZYZNY

DOPIERO w ostatnim dziesiątku lat pojawiły się naprzód prace naukowe omawiające kwestję wieku przejściowego u mężczyzny, a wślad za niemi artykuły popularne w pismach literackich i codziennych.

Mężczyźni, ironizując często ten okres w życiu kobiety, lub co najwyżej traktując go z pobłażliwą wyrozumiałością, nie przypuszczali nawet możliwości podobnych stanów u siebie. Zaznaczali i tu swoją wyższość fizyczną nad kobietą, jako nie podlegający tego rodzaju zmianom i dolegliwościom.

I podczas gdy od niepamiętnych czasów omawiali otwarcie najdrobniejsze symptomy zachodu młodości kobiety — swój zachód przemilczali dyskretnie.

Angielski lekarz, Halford, w roku 1831 pierwszy poruszył tę sprawę w czasopismach fachowych. Prace jego, jakkolwiek oparte na poważnych badaniach i poparte licznemi doświadczeniami, przeszły bez wrażenia. Mężczyźni nie chcieli dopuścić nawet tej myśli do siebie i prace Halforda pominęli obojętnem milczeniem.

Kilkadziesiąt lat później, tym razem w niemieckiej fachowej literaturze, opublikował dr Freud swoje doświadczenia z zakresu zaburzeń w ustroju nerwowym na tle wieku przejściowego u mężczyzn. Ale i te publikacje przeszły bez wrażenia. Mężczyźni i tym razem bronili się przeciwko tej myśli; jedni oburzali się, drudzy odnosili z niedowierzaniem, a inni otwarcie drwili i ośmieszali całą sprawę.

Dopiero neurolodzy dr Max Marcuse i dr Kurt Mendel zdołali ogłoszeniem swoich badań i statystyką przykładów poruszyć świat lekarski. Odtąd zaczęto poważnie patrzeć na tę sprawę i już nietylko w czasopismach fachowych teoretycznie ją rozpatrywać, ale i w praktyce lekarskiej uwzględniać tę fazę w życiu mężczyzny.

Zaznaczyć jednak trzeba że, wbrew niezbitym dowodom, mężczyźni naogół niechętnie uznają ten fakt; większość z nich wątpi lub z oburzeniem odrzuca tę możliwość, do wielu zaś nie doszła jeszcze ta prawda. I to nietylko wśród szerokich mas laików, ale nawet wśród lekarzy.

A przecież trudno chyba przeczyć zjawiskom fizjologicznym, jak starzenie się organizmu, trudno uwierzyć, że prawa natury dadzą się obejść tylko dlatego, że ktoś jest mężczyzną.

— — — — — — — — — — — — —

Pierwsze zapytania brzmią zawsze jednakowo:

Wiek? Objawy?

Wieku sprecyzować nie można, ani w jakiś szablon ująć; u jednych wcześniej, u drugich później, u innych znów bardzo późno. Czyli że kwestja wieku przedstawia się zupełnie identycznie jak u kobiety w tym okresie.

Z symptomami natomiast, rzecz jasna, jest inaczej. Mogą być analogiczne: zaburzenia psychiczne i w systemie nerwowym, jak również zmiany skórne; nigdy zaś identyczne: przypadłości i zmiany w narządach rodnych.

Różnice w objawach zachodzące w procesie starzenia u mężczyzny i kobiety nie mogą bynajmniej służyć jako argument przeciwko istnieniu wogóle tego okresu u mężczyzny.

Nie możemy, ani też nie widzimy potrzeby przytaczania tu wszystkich kategoryj zmian i objawów towarzyszących temu okresowi, ale podamy tylko te, o których najbliższe otoczenie wiedzieć powinno, liczyć się z niemi i zdobyć się wobec nich na wyrozumiałość.

U niektórych osobników występuje wówczas nieznana przedtem wrażliwość, pobudliwość do wzruszeń, do roztkliwiań się, do gniewu, do popędliwych czynów; obrażliwość, podejrzliwość, obojętność na wiele rzeczy, które przedtem interesowały, niechęć do zmian w trybie życia, do przystosowywania się do nowych warunków, do zawierania nowych znajomości. Czasem bezwzględność w sądach, zawziętość, nieustępliwość, zapatrzenie się w siebie i egoizm posunięty do ostatnich granic, stała opozycja i nie znoszenie cudzego zdania.

Inni znów naodwrót zmieniają się na wyrozumiałych, współczujących z każdą niedolą, rozczulających się z powodów błahych, na które dawniej nie zwróciliby nawet uwagi. Zajmują się przesadnie własnem zdrowiem, z byle drobiazgiem śpieszą do lekarzy i stanowią duży procent ich klienteli.

Artystom, talentom twórczym grozi wówczas rzecz tak przykra jak upadek fantazji, inicjatywy, twórczości; śpiewakom zanik głosu, coprawda znacznie rzadziej, aniżeli śpiewaczkom. Nie można jednak uważać tego za regułę bez wyjątków, gdyż znane są głośne nazwiska filozofów i artystów, wojowników i działaczy społecznych, którzy w długie lata po okresie przejściowym tworzyli arcydzieła, dokonywali czynów i prac wiekopomnych, zupełnie jak w okresie pełnego rozkwitu fizycznego. Z tego widzimy, jak niczego uogólniać nie można i pod szablon przykładać, gdyż zawsze zaskoczyć nas może niespodzianka, zwłaszcza zaś tam, gdzie chodzi wyłącznie o wysiłki mózgowe, o świeżość i bystrość umysłu, to jest tam, gdzie fantazja nie jest niezbędnym warunkiem pracy.

Widmo starzenia się i energiczna, zaciekła z niem walka prowadzi do najróżnorodniejszych konfliktów duchowych, erotycznych, a nawet etycznych. Znanym jest bowiem w kryminologji fakt, że w tym okresie życia wzmaga się u mężczyzn przestępczość, budzą się różne nienaturalne popędy, czasem sadystyczne, czasem zboczenia, interesowanie się młodziutkiemi dziewczynkami, wybuchy namiętności i t. p.

Często też podlegają niekorzystnym zmianom stosunki rodzinne. Mężczyzna obojętnieje wobec dzieci i żony, czuje do nich nieuzasadnioną niechęć, urazę i szuka zbliżenia do obcych kobiet.

Na tem podłożu powstają częste nieporozumienia, separacje, rozwody, rozporządzania majątkiem na niekorzyść swoich najbliższych, akty darowizny.

Tem trudniej zaś pokonać owe konflikty, jeśli zbiegną się jednocześnie lata przejścione męża i żony.

Zażegnać mogłaby je jedynie obopólna wyrozumiałość, na którą trudno zdobyć się obojgu, gdyż każde z nich potrzebuje jej dla siebie.

Wynika z tego jasno, jak bardzo potrzebne jest mężczyznom i kobietom uświadomienie w tym względzie.

Orjentowanie się w sytuacji, zrozumienie na czem polegają niektóre dziwactwa, przeświadczenie, że jest to okres przejściowy — byłoby bodźcem do mądrej pobłażliwości, do przymykania oczu na niejedno niezbyt groźne przewinienie.

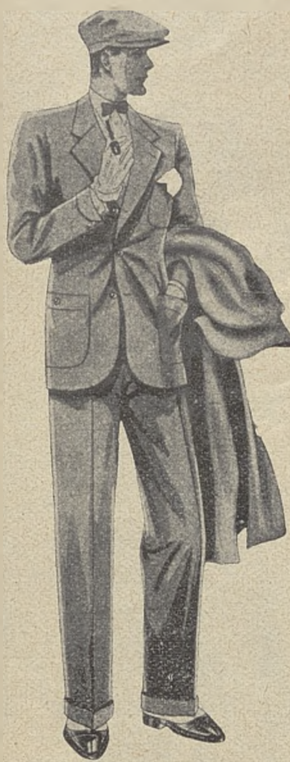
Czy więc będziemy się o to sprzeczali, czy lata krytyczne u mężczyzny istnieją, czy nie, musimy przyznać, że w tym okresie występują pewne objawy nieznane przedtem. Zatem dokonują się zmiany, z których prawie nigdy nie zdaje sobie sprawy ani dotknięty niemi, ani jego najbliższe otoczenie.

Zadaniem niniejszego artykuliku jest zwrócenie na tę sprawę uwagi kobiet i zachęcenie ich do wyrozumiałości wobec mężów, do taktownego postępowania i niedrażnienia, bezcelowemi scenami lub uwagami, i tak już poirytowanych nerwów.

Niechaj uwierzą ci wszyscy, którzy się boją starości, że kto potrafi utrzymać młodość ducha i budzić zainteresowanie swoją osobą, pozostanie zawsze młodym.

EFEB

COŚNIECOŚ DLA PANÓW



Podróżne ubranie z popielatego lub beige materjału. Fason amerykański z nakładanemi kieszeniami

W SEZONIE letnim, w okresie częstszych wyjazdów, ważne jest ubranie podróżne. Odpowiednim na nie będzie materjał lekki, porowaty, w kolorach dobrze znoszących pył. Ciemne barwy są niepraktyczne. Fason jednorzędowej marynarki z dużemi, nakładanemi kieszeniami. Miękki kołnierzyk, czapka z daszkiem, wygodne rękawice najlepiej niezbyt jasne, a w każdym razie ani białe, ani jasno-żółte.

Jak najmniejszy a najpojemniejszy bagaż jest marzeniem każdego z panów. Ale tu gra rolę już nietylko ilość zabieranych z sobą rzeczy, lecz także umiejętność pakowania, układania rzeczy w ten sposób by miejsce zostało wyzyskane w każdym calu a rzeczy przytem nie ucierpiały, nie zostały zgniecione.

Dziś bierzemy w podróż znacznie mniej aniżeli przed laty — i kuferek mieszczący się w wagonie, oraz podręczna torebka, wystarcza najzupełniej. Wyjątek stanowią dłuższe podróże i wyjazdy do wielkoświatowych miejscowości, gdzie życie towarzyskie stawia inne wymagania. Ale na kilkutygodniowy wyjazd zmieścimy we wspomnianym kuferku trzy ubrania, kapelusze, trykotarze, niezbędną ilość bielizny i obuwia. W podręcznej zaś torebce przybory toaletowe i inne drobiazgi.

Tak wyekwipowany mężczyzna może jechać w góry, nad morze i zwiedzać wielkie miasta.

Modne są znowu pokrowczyki na kufry brane do wagonu; używa się na nie szarego płótna w paski.



Spięcie miękkiego kołnierza

Gładkie jasne spodnie flanelowe w kolorach: białym, kremowym, perłowym i jasnym beige zostały pobite przez jasne materjały w paski. Oczywiście, od koloru pasków uzależniony jest kolor marynarki, a więc np. kremowe spodnie w bronzowe paski — bronzowa marynarka, w granatowe paski — granatowa marynarka.

Do jasnych flanelowych spodni nadają się wyłącznie słomkowe kapelusze, marynarki i panama.

O tem, że tego rodzaju spodnie rażą na bruku miejskim, wiemy chyba wszyscy.

Odpowiednie do nich obuwie: półbuciki białe, obłożone bronzową skórą. Na statku i na plaży mogą być całe białe.

Na plaży potrzebny jest trykot kąpielowy; oprócz czarnych najnowsze modele są jasne do pasa, poniżej czarne lub zupełnie ciemne. W pasie naszyte są pionowo wąziutkie listeweczki przytrzymujące pasek. Oprócz trykota: płaszcz kąpielowy, pyżama i pantofle o gumowej podeszwie. Do gier i zabaw ruchowych na plaży modna jest obecnie luźna bluza z éponge długości trykota, związana w pasie.



Do gier i zabaw ruchowych na plaży w trykocie ukazała się bluza z éponge, w miejsce płaszcza, który krępuje ruchy

Krawaty wykazują wielką rozmaitość deseni i kolorów. Szerokie i wąskie pasy na gładkiem tle lub na wzorzystem; szerokie jasne na ciemnem tle, ciemne na jasnem złożone z kilku lub kilkunastu wąziutkich paseczków. Desenie geometryczne, punkciki, grochy, kwadraciki, gwiazdki, drobne krateczki pepita. Do jasnych ubrań letnich żywe kolory, do ciemniejszych spokojne. Motylki nie są obecnie tak sztywne jak dawniej, lecz z pewną dozą fantazji wiązane.

Miękki kołnierzyk wymaga spięcia końców. Jest niem albo szpilka w kształcie agrafki, albo spinki złączone łańcuszkiem. Wprawdzie ultramodni panowie usiłują to spięcie wyrugować, pozostają jednak w odosobnieniu. Zwłaszcza kołnierzyki z długiemi końcami nie mogą obejść się bez spięcia, o ile noszący je pragnie mieć wygląd staranny i nie chce koszuli dziennej upodabniać do nocnej. Jakkolwiek dostają one odrobinę krochmalu, mimo to jednak dopiero spięcie nadaje im pożądany poprawny i staranny wygląd. Amerykańska bezceremonjalność nie razi w sporcie i na letniskach, ale w mieście lepiej ją zarzucić. Tak więc szpilka do kołnierza jest szczegółem niezbędnym, uznanym przez wytwornych elegantów z kół najwyższej arystokracji rodowej, od panujących począwszy. Królowie ekranu i sportu również ją adoptowali. Szpilka musi być dobrana nietylko do kołnierzyka lecz i do węzła krawata i być zgrabnie wpięta. Obawy niektórych panów przed przedziurawieniem kołnierza szpilką są o tyle nieuzasadnione, o ile szpilka ma ostry koniec. Wówczas zakłócia przy spięciach ściągają się w praniu bez śladów.

Do spinek złączonych łańcuszkiem musi kołnierzyk mieć dziurki. Wprawdzie widuje się jeszcze gdzieniegdzie takie spinki, ale ponieważ uważane są za staromodne, lepiej więc pozostać przy szpilkach. Te ostatnie nie pozwalają bezwzględnie na noszenie szpilki w węźle krawata; byłby to nadmiar biżuterji, rażący u mężczyzny.



Modne wzory materjałów krawatowych

Przy miękkim kołnierzyku o krótkich końcach spięcie jest nietylko niepotrzebne, ale nawet niezgrabnie wygląda.

Za wysoko wpięta szpilka nie przytrzymuje długich końców i wywołuje marszczenie się kołnierzyka.

GENTLEMAN

PLOTECZKI O MODZIE



Kostjum do jazdy statkiem



Najmodniejszy krój pyżamy plażowej

Plaża — jest dziś na ustach wszystkich, tem zaś bardziej, że morze nie jest koniecznym jej warunkiem. Nad brzegiem każdej rzeki możemy mieć plażę; wystarczy kilkadziesiąt — lub kilkanaście — metrów nadbrzeżnych, wysypanych grubo piaskiem, i oto plaża gotowa. Źródło zdrowia, energji, wesołości, rozrywki lub rozkosznego leniuchowania.

Ubranie na plaży — to poważny problem, czasem nawet bardzo kosztowny, bo przepych panujący na modnych wybrzeżach oszałamia głowy, a portmonetki opróżnia. Ponieważ jednak żadna z nas — ani Czytelniczki, ani pisząca — nie jest miljarderką, więc przepych i wybryki mody zostawiamy na boku, a zajmiemy się swoim własnym szykownym i ponętnym wyglądem, który nie od ilości wydanych pieniędzy zależy, Bogu dzięki, ale od wytwornego smaku kobiety.

Kostjum kąpielowy — jest to albo jednolity trykot z osobnym paskiem w pasie, albo złożony z dwóch części, t. j. ze spodenek i długiego dżempra również z paskiem. W tym sezonie są modne ciemne kolory kostjumów: granatowy, bronzowy, wiśniowy, fiołkowy, czarny, niebieski. Wrabiane plisy lub pasy jaśniejsze wykańczają trykot u wycięcia i dołem. Ale są i trykoty zupełnie gładkie.

Wycięcia kostjumów kąpielowych — znacznie głębsze aniżeli w roku ubiegłym, mianowicie na plecach i pod pachami.

Pantofelki gumowe — bez obcasków i czapka lub hełmik gumowy, uzupełniają kostjum kąpielowy, bo o plażowym później.

Płaszcz kąpielowy — długi do kostek, z rękawami, narzucamy na kostjum w drodze do kąpieli i w powrotnej. Peleryny utraciły popularność. Na płaszcz wybieramy materjał frotté, harmonizujący kolorem z trykocikiem. Dotychczas, jak widzimy, kwestja kostjumu nie przedstawia się rujnująco, zwłaszcza że trykotaże krajowe mamy przepiękne, a materjały frotté wprost zachwycające. Ponieważ cło zagraniczne odpada, więc z męstwem patrzymy w przyszłość plażową. Tylko teraz to rozkoszne leniuchowanie na plaży! W czem? W czem najponętniej i — najtaniej? Bo przecież mokry kostjum, gumowe pantofelki i hełmik czy czapeczkę musimy w kabinie zrzucić. Trzeba więc jakoś tanio skomponować:

Kostjum plażowy — wobec tego, że ani kolana nagie ani łydki, choćby najpiękniejsze pod słońcem, nie są modne... Słyszę już — w duchu, oczywiście — ciężkie westchnienia właścicielek tych najpiękniejszych szczegółików, a jeszcze załośniejsze inne... Ale trudno, moda uznaje wyłącznie absolutne rządy. Tak więc, skoro trzeba chować nogi, przystrajamy się w pyżamy: długie spodnie fantastycznie szerokie i staniczek obcisły wpuszczony pod spodnie, albo też bluzka; bez rękawów. Na to płaszczyk długości trzy czwarte, lub tylko poniżej bioder sięgający, luźny, z rękawami. Pantofelki na słupkowych obcaskach lub bez, z rafji albo płótna, oczywiście stonowane. Czasem sandałki. Torebka na drobiazgi, parasolka. Kapelusz, bo i ten obowiązuje, olbrzymi. Z cienkiej słomki, z płótna, z linon — wogóle materjał dowolny, byle fason przypominał pasterkę lub sombrero. Tak samo materjał na taki komplet plażowy bywa rozmaity, wbrew twierdzeniom, że tylko jedwab. Przeciwnie, najwytworniejsze żurnale paryskie wymieniają poza jedwabiem: półjedwab, cienką wełenkę szkocką, jersey, płótno jedwabne i różne odmiany wyrobów bawełnianych. Spodnie są kloszowe od kolan, mają wstawiane godety, partje fałdów układanych i zdaleka robią wrażenie fałdzistych spódniczek. Ale pojawiły się i spodnie krótkie do kolan, nawzór męskich sportowych; przyznać jednak trzeba, że nie robią ładnego wrażenia. Wkońcu uspokajam Czytelniczki, że mogą spokojnie używać na plaży swoich domowych kompletów pyżamowych i nie muszą sprawiać nowych.

Patentowe zapięcie — przy trykotach kąpielowych jest najświeższym pomysłem. I jakże wygodnym! Ile to nieraz nabiedzić się trzeba było przy zdejmowaniu mokrego trykotu przez głowę i jak opornie szła nam ta czynność. Obecnie, z takiem zapięciem zboku trykocika mamy zapewnioną wygodę i łatwość zdjęcia. Zapięcie w dobrym gatunku nie rdzewieje, trzyma mocno i jest zupełnie pewne.





Podróżne stroje: kostjum i płaszcz

Wiadomość o tem ulepszeniu ucieszy zapewne Czytelniczki wybierające się nad morze i wogóle miłośniczki pływania.

Praktyczną nowość — przyniosła nam moda na okres wyjazdów letnich i kilkudniowych wycieczek. Jest to kombinacja sukni ze spodniami, łatwa do uszycia w domu i do wyprania, ochrzczona nazwą *overall*. Szyjemy ją z materjałów bawełnianych, w kolorach odpornych na zbrukanie, często w zielonym, bronzowym, albo w białym. Służy dzielnie do pracy w ogrodzie, na wycieczki, do wiosłowania, rybołóstwa i innych sportów w razie chwilowego braku właściwego kostjumu.

Układane fałdy — widzimy coraz częściej przy spódniczkach, i to nietylko wyłącznie przy sportowych jak dotychczas, ale przy jedwabnych popołudniowych i wieczorowych. Zwykle rozmieszczone bywają poniżej bioder i zastebnowane do połowy. Układane w gęste, głębokie fałdy, dla uzyskania szerokiego obwodu dołem.

Obowiązujące żakieciki do sukien letnich — są kosztownym szczegółem w garderobie. Moda ułatwia nam jednak tę sprawę i pozwala nosić jeden żakiecik do kilku sukien. Trzeba tylko umieć sprawiać z rozmysłem i harmonijnie łączyć kolory. Np. czarny żorżetowy żakiecik może służyć poza czarną suknią, do białej, do beige, niebieskiej, różowej, złotawej, pomarańczowej, kremowej, jasno-zielonej i innych. Przyczem dobrze jest, jeśli kolor czarny powtarza się w jakim szczególe toalety.



Przed południem

Suknia z jedwabiu do prania w drobną krateczkę beige z białem. Kołnierz i mankiety z białej piki

Draperje — są wybitnie faworyzowane przez modę. Całe suknie układane w draperje, staniki udrapowane — widujemy często na toaletach wieczorowych, a przyznać trzeba, że draperja ułożona lekko i wdzięcznie wygląda niezrównanie pięknie.

Drobniutkie gwiazdeczki — są najnowszym wzorem na jedwabiach kostjumowych. Oto piękny model: spódniczka i luźny żakiecik z granatowego jedwabiu w białe gwiazdeczki; bluzka biała ma na wyłogach jedną większą i kilka mniejszych gwiazdek haftowanych granatowym jedwabiem. Przy żakieciku kwiat z płateczków białych, podszytych granatowem. Torebka granatowa.



Po południu

Kostjum popołudniowy z jedwabiu lub najcieńszej wełny w kolorze granatowym. Przybranie u szyi i rękawów z żorżety chartreuse zahaftowanej ażurowo, granatowym jedwabiem

Pelerynki, olbrzymie kołnierze, wolanty z riuszkami — zdobią wycięcia letnich powiewnych sukien popołudniowych i wieczorowych.

Płaszcze i kostjumy na podróż — muszą stanowić ochronę przed pyłem, wiatrem i nie miąć się łatwo. Ponadto pył kolejowy czy przydrożny nie powinien zostawiać widocznych śladów na materjałach. Wobec takich wymagań muszą te ostatnie być gęsto tkane i niezbyt ciemne. Kolory szare, popielate, piaskowe, tkane w różne nitki a specjalnie niezliczone odmiany tweedów lekkich i cięższych będą do tego celu najodpowiedniejsze. Fasony proste, nieskomplikowane, zapięte pod szyję. Tak suknie, jak bluzki i płaszcze. Moda żąda przy płaszczach podróżnych kołnierzy futrzanych nawet w upalne dni, albo przynajmniej kołnierzy przechodzących w szalik. Szaliki mogą być z materjału płaszcza lub z odmiennego jak np. ze skóry w kratkę, która powtarza się na mankietach i bereciku podróżnym. Przy kostjumie podróżnym bluzeczka nie powinna być biała ani bardzo jasna lecz stonowana dokładnie z kolorem kostjumu. Tylko wówczas można wyglądać świeżutko podczas całej drogi.

Broszki w kształcie długich wisiorów — są ostatnią nowością w zakresie biżuterji. Spina się niemi miękko fałdowane staniki wieczorowych toalet, zprzodu u wycięcia. Przy białym kolorze, specjalnie wyróżnianym w tym sezonie, najładniej wyglądają rubiny i szmaragdy lub półszlachetne kamienie w tych kolorach. Czarna toaleta harmonizuje z diamentami.

Bez kokard — trudno dziś obejść się kobiecie. Wszędzie znajdą zastosowanie, z każdego materjału mają prawo być wykonane, byle kształt był odpowiednio dobrany. Z tęższych materjałów dobre są małe motylki, z miękkich i powiewnych każdy kształt dobrze wypadnie. Są one w obecnej modzie nietylko motywem zdobniczym — czasem rozwiązanie kokardy lub kokardki, równa się rozpięciu bluzki, stanika, kamizelki, bolera lub nawet płaszcza. Czasem kokarda związuje draperję lub nadaje jej ciekawe zakończenie, czasem zaciska fałdy na staniku lub biodrach, albo też skrywa zapięcie. Kokarda jest na miejscu — na każdem miejscu i przy każdym charakterze sukni.

CAILLER-SOBAŃSKA



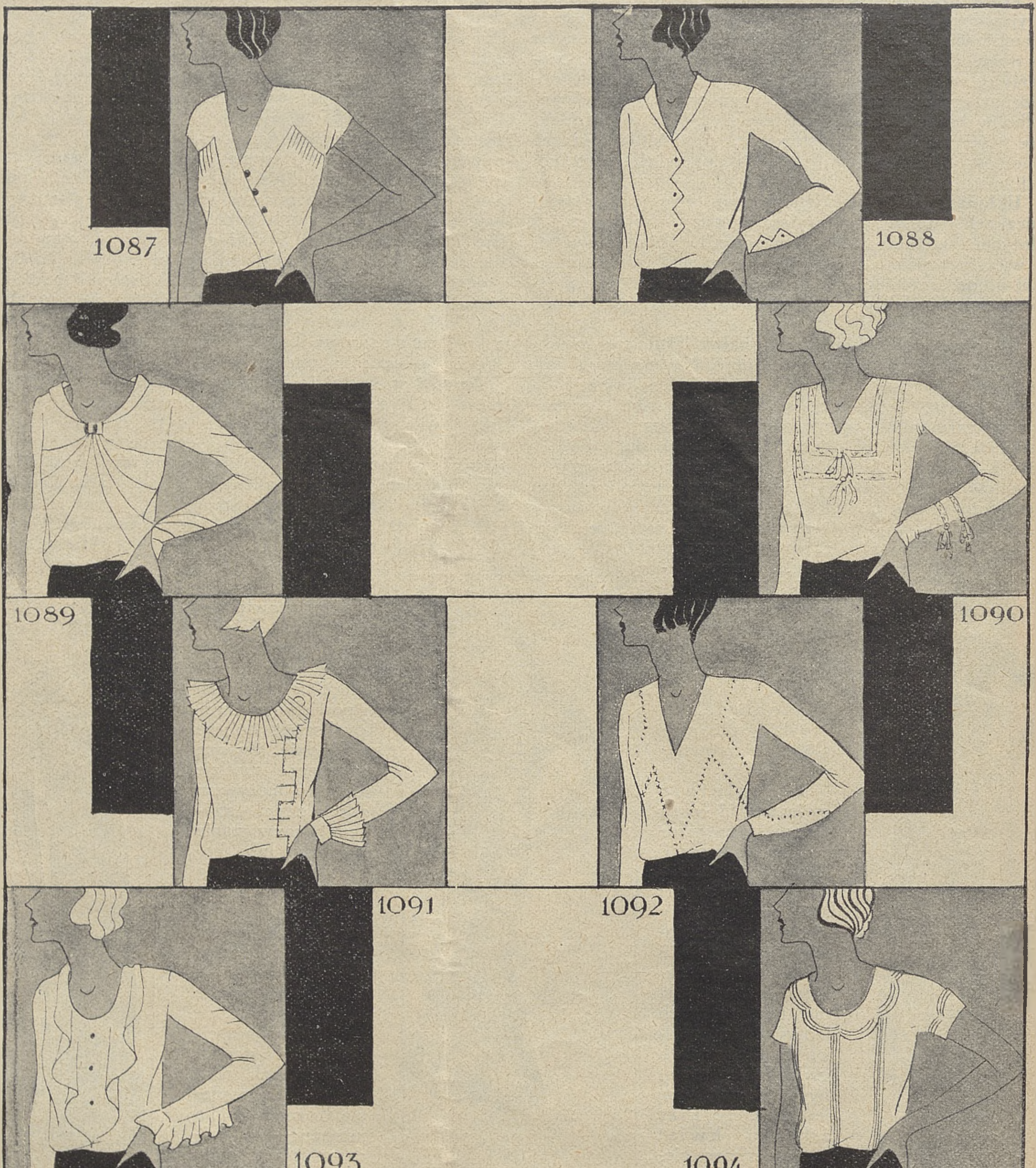
Wieczór

Toaleta wieczorowa z jedwabnego muślinu czarnego. Karczek, kwiaty i modna duża chusteczka utrzymane w tonie perłowym

UWAGA: Prawidłowa długość sukien na trzy pory dnia. Długie suknie i nierówne obwody nie nadają się na ulicę, rażą przed południem i po południu, robią prowincjonalne wrażenie

MODELE MÓD

BLUZECZKI STROJNE I SKROMNE



1087 Bluzka z płótna jedwabnego; krój prosty.
1088 Skromna sportowa bluzka.
1089 Bluzka z crêpe de chine, ozdobiona zakładeczkami.
1090 Bluzka ozdobiona wstawkami.
1091 Bluzka z crêpe de chine z krezą i mereżkami.
1092 Bluzka przybrana haftem.
1093 Bluzka z żorżety z żabotem.
1094 Bluzka wykończona zakładeczkami.

Materjały wyłącznie krajowe!



1095 Suknia w kontrafałdy, ozdobiona stebnem. Żakiecik luźny.
1095 Suknia w kontrafałdy zprzodu; ozdobiona mereżkami. Żakiecik w pasy.

1097 Suknia z shantungu w pasy; krój prosty.
1098 Suknia ozdobiona stebnem. Karczek w trzy zastebnowane zakładeczki. Żakiecik w odmiennym kolorze.

Oszczędna pani domu, dobra obywatelka kraju, wytworna elegantka kupuje polskie materjały!



1099 Sukienka bez rękawów; bolerko z rękawami osobno do wdziewania.
1100 Sukienka ozdobiona falbankami plisowanemi; bolerko z rękawami osobno do wdziewania.
1101 Sukienka przybrana odstającemi pliskami.
1102 Sukienka ozdobiona zakładeczkami wzdłuż — kołnierz i mankiety w odmiennym kolorze.



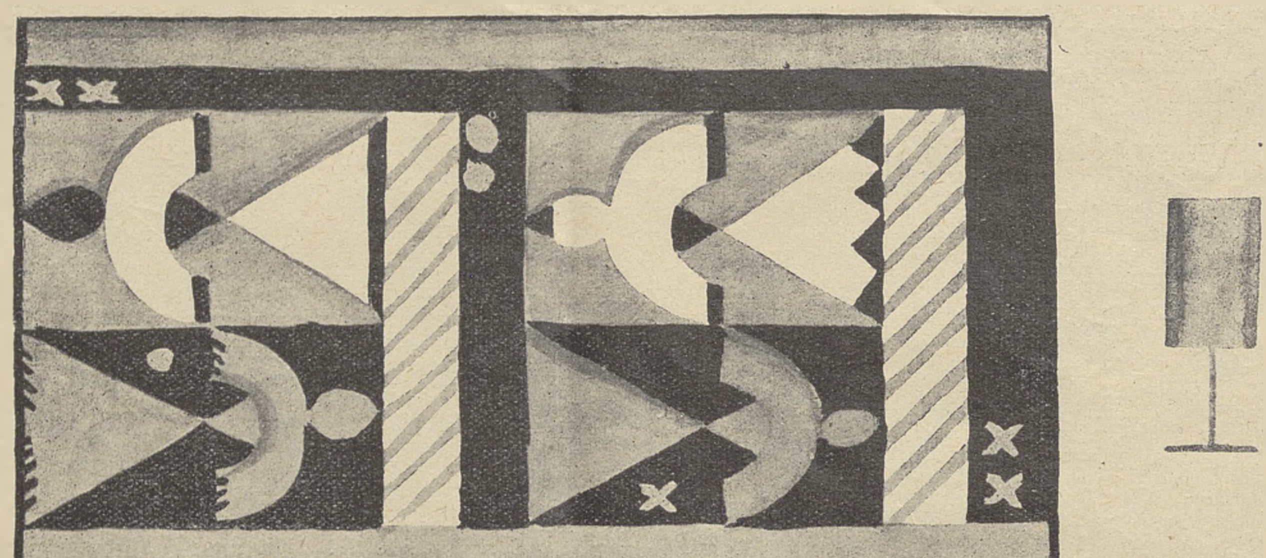
1103 Suknia lekko zbluzowana z jedwabnej markizety; pelerynka osobno do wdziewania.

1104 Suknia z białej żorżety, ozdobiona mereżkami.

1105 Suknia z organdi z bolerkiem bez rękawów; na kloszowej spódniczce falbana w okolicy bioder.

1106 Suknia w zakładeczki, tworzące dołem sute fałdy. Bolerko z rękawami, osobno do wdziewania.

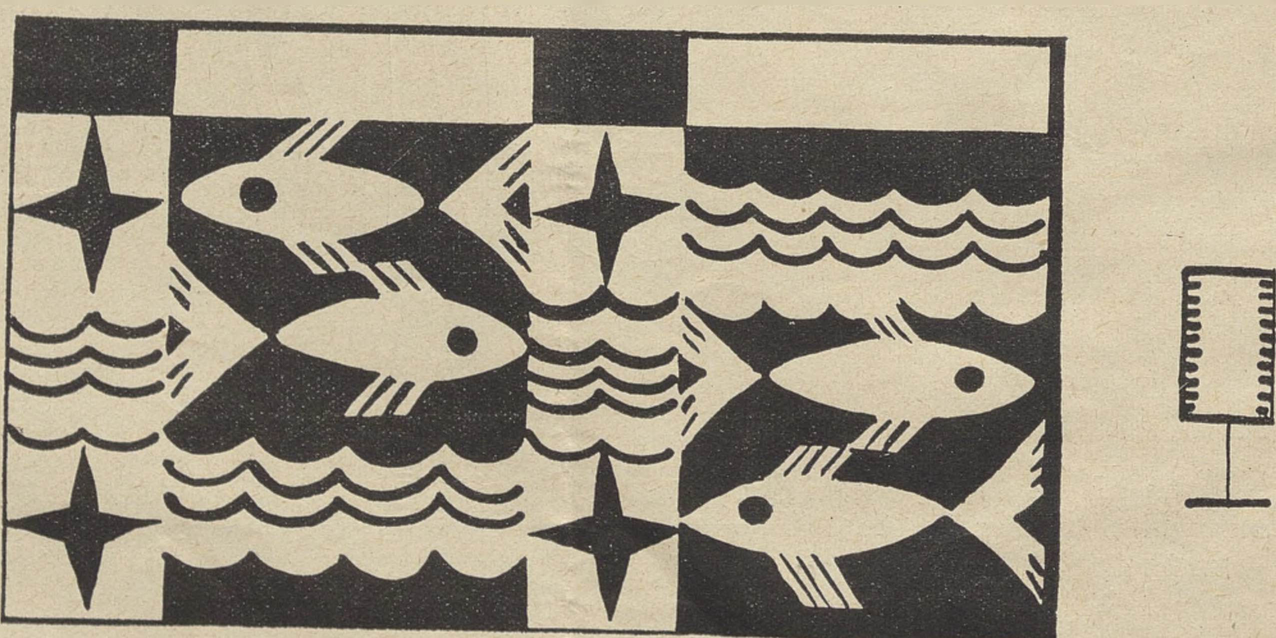
ABAŻURY BATIKOWANE NA PAPIERZE LUB JEDWABIU



Rys. 313



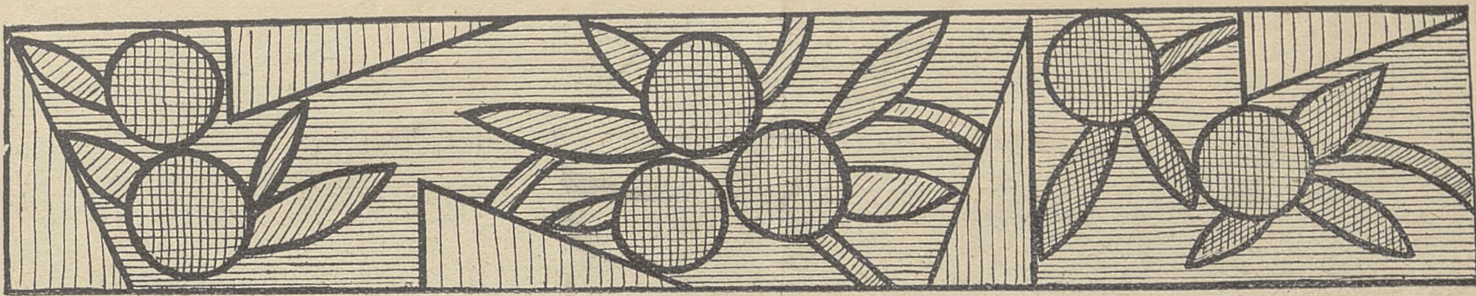
Rys. 314



Rys. 315

Rys. 313: Abażur kształtu walca, kolory: biały, cytrynowy, żółty.
Rys. 314: Abażur kształtu stożka ściętego, kolory: żółty, zielony.
Rys. 315: Abażur kształtu walca, kolory: biały, niebieski.

Proj. J. Hölzlowa



Rys. 316

Rys. 316. — Szlak do ozdobienia zasłon, serwet, makat, sukienek dziecięcych i t. p. Aplikacja lub malowanie przez szablon, albo też batikowanie. Kolory: owoce — pomarańczowe; liście — zielone; trójkąty — jasnopopielate. Proj. Wanda H.



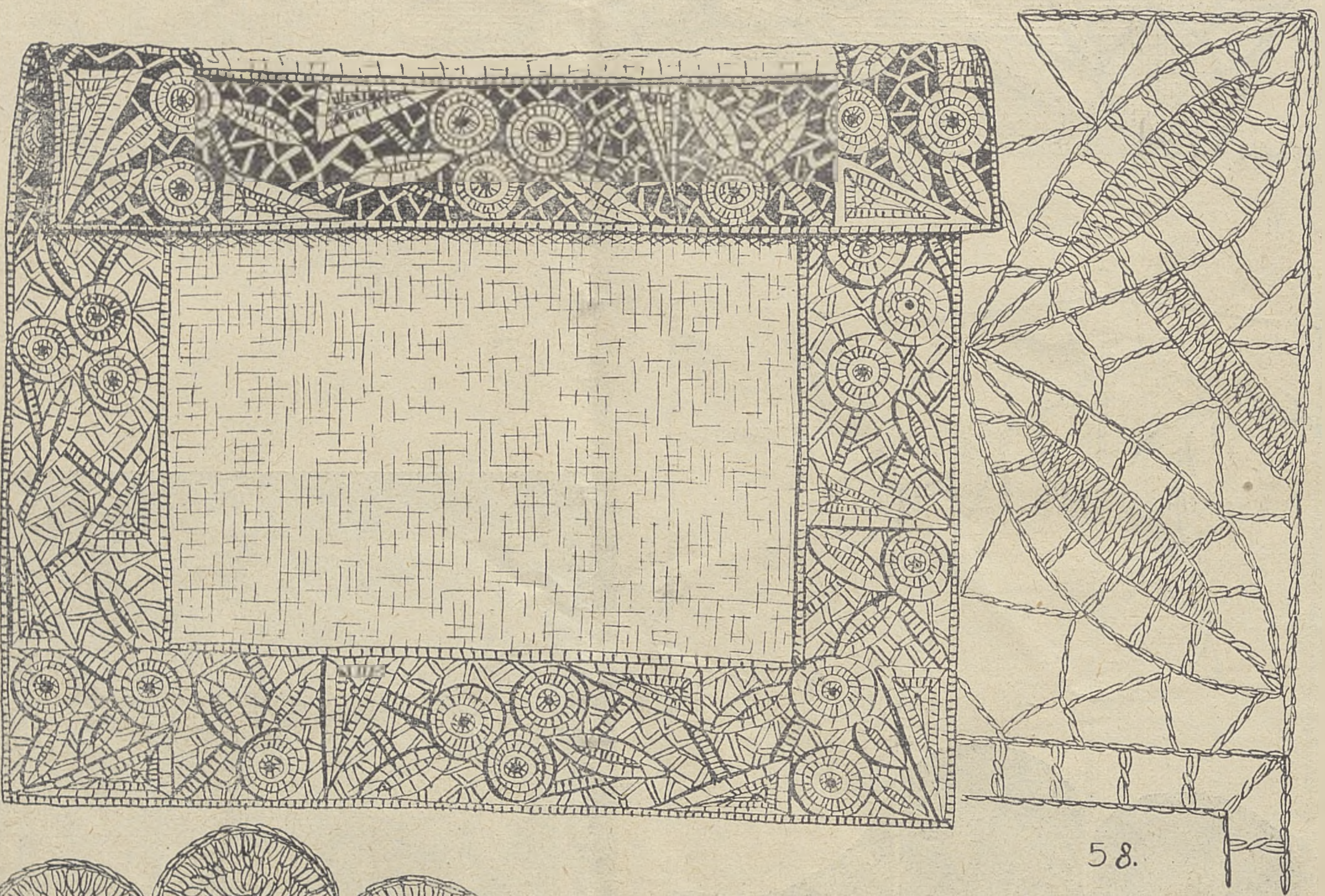
Rys 317

Rys. 318

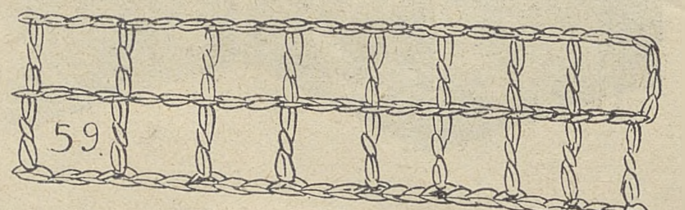


Rys. 317. — Parawan w stylu francuskim. Haft jedwabiem na suknie, albo na jedwabiu. Kolory dowolne, dostosowane do urządzenia. Proj. Wanda H.

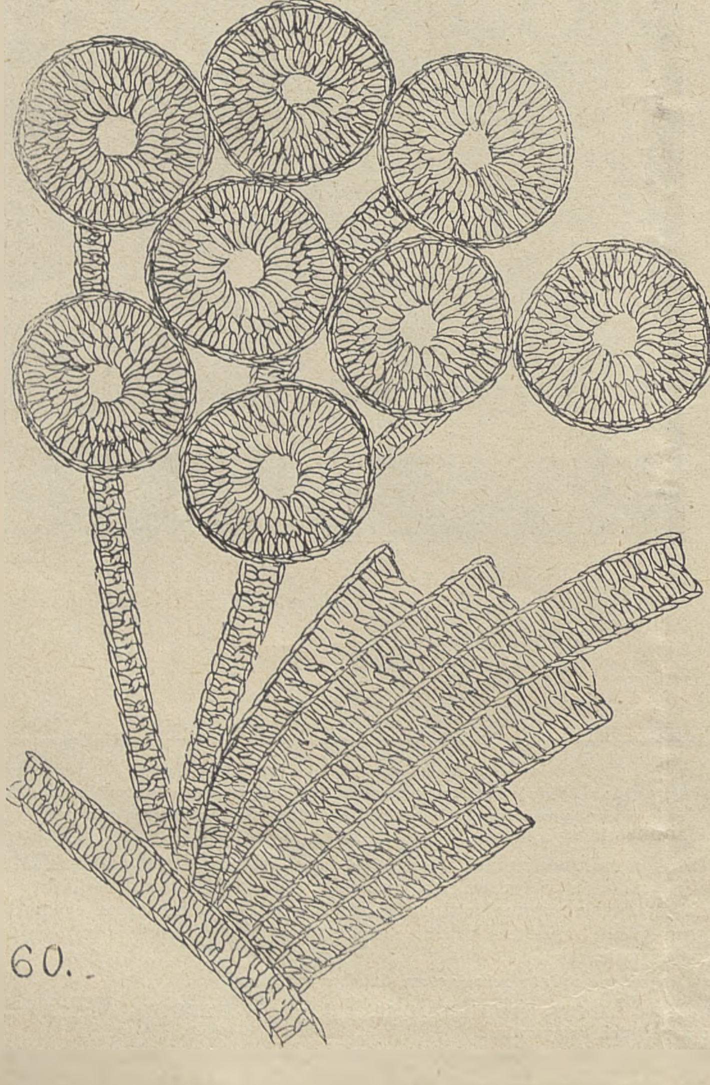
Rys. 318. — Zazdrostka do okien. Wyciąganie i cerowanie na tiulu. Proj J O.



58.



59.



60.

W niniejszej części podajemy inne zastosowanie motywów, uwidocznione w nrze 12. Szlak otaczający chustkę, alboteż kapę na stół — gdyż serwety włóczkowe są bardzo modne — składa się z motywów połączonych szydełkowaniem jak np. chustka w nrze 8, albo szytemi pajączkami, ob. rys. 58. Środek chustki, względnie serwety, można wykonać bądźto gęsto ze ścisłych oczek albo ze słupków, bądźto rzadko jak siatkę, t. j. ze słupków przedzielonych 2 oczkami w powietrzu, rys. 59. Wokoło środka, jak i szlaku, robi się gęsty rząd słupków. W celu wykonania szlaku należy gotowe motywy przyfastrygować na wzorze z papieru i połączyć między sobą, a czasem z brzegiem środka, pajączkami albo szydełkowanym łańcuszkiem. Nakoniec łączy się motywy i łańcuszki, wzgl. pajączki, wzdłuż brzegu odpowiednią ilością oczek w powietrzu, na których znowuż wykonywa się wyżej wspomniany rząd słupków.

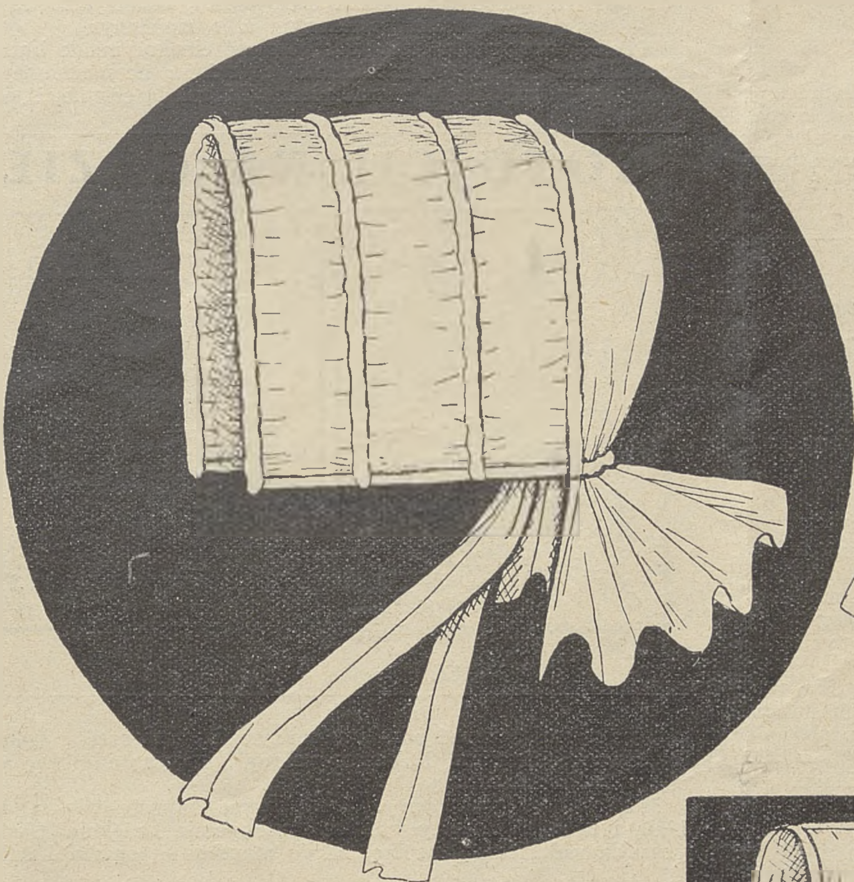
Na żądanie dostarczamy wzoru wielkości 140 cm w kwadracie, na wzorze zaś podajemy wskazówki, w jaki sposób można go zmniejszyć według potrzeby, jeśli chustka, wzgl. serweta, ma być mniejsza. — Tak samo można zrobić tylko trójkąt.

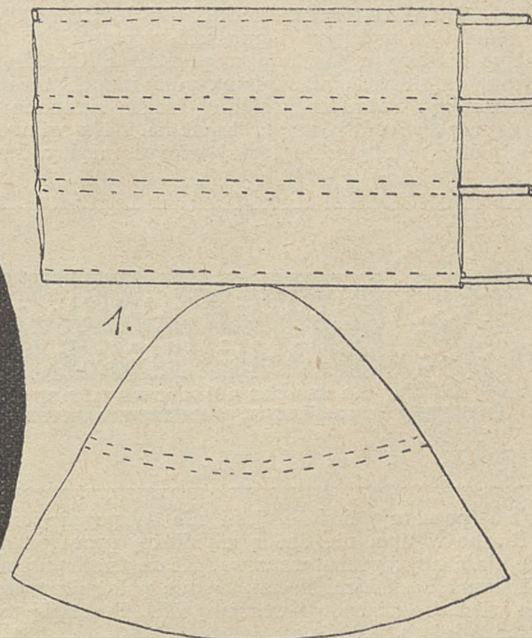
Dobór kolorów zależy od gustu. Można je mieszać albo stopniować; zawsze całość będzie piękna.

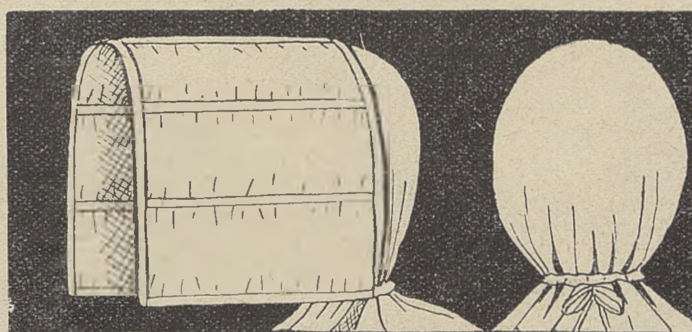
Robota napozór trudna, w rzeczywistości jest wcale łatwa i postępuje szybko.

Zastosowanie motywu rys. 60 pokażemy w następnej części. Wykonanie tak łatwe i dokładnie pokazane, że opis staje się zbyteczny.

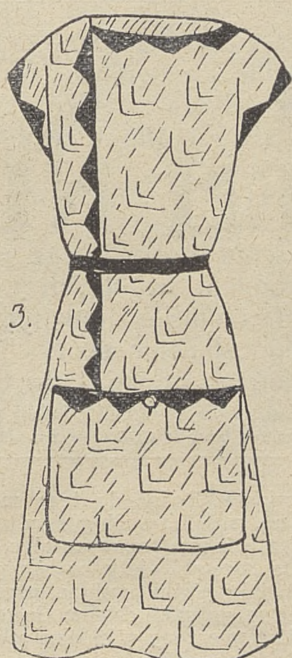
Z. KULCZYCKA

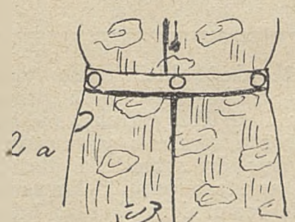


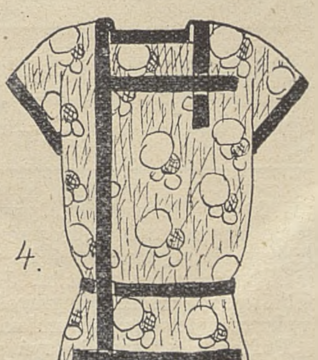












CZEPEK OGRODOWY.

Biały muślin, albo opal, służy jako materjał. Część przednia, zasłaniająca twarz przed promieniami słońca, jest podwójna i odszyta w równych odstępach, w celu przewleczenia drutów albo fiszbinów usztywniających kształt. Tylna część osłaniająca kark jest ściągnięta tasiemką, którą przewleka się przez nastebnowaną listewkę. Rys. 1 uwidocznia krój pierwszego czepka. Drugi czepek jest podobny, tylko tu fiszbiny umieszcza się w innym kierunku. Końce fiszbinów, po przekłóciu rozpalonym drutem, przyszywa się w ten sposób, że łatwo je wyciągnąć przed praniem.

Spodenki ogrodowe, rys. 2, zapięte ztyłu pod paskiem, rys. 2 a. Fartuszki ogrodowe rys. 3 i 4 można równie dobrze wkładać zamiast sukienki, gdyż zapięcie da się umieścić zboku pod przybraniem, przyczem plecy pozostaną gładkie.

Na spodenki, jak i sukienki - fartuszki, stosowna każda wzorzysta materja z bawełny i sztucznego jedwabiu, a więc perkal, satyna, płócienko, różne kreponiki, woaliny i t. p.

Z. KULCZYCKA

Dostarczamy krojów wielk. II na wszystkie podane modele.

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

PRZECHOWYWANIE ŻYWNOŚCI W LECIE. (C. d.) Wędliny należy owinąć gazą i powiesić w przewiewnem miejscu. Nadkrojone kiełbasy wysychają w przekroju. Chroni przed tem gruba warstwa tłuszczu albo płatek papieru pergaminowego silnie natłuszczony. Pokrajane wędliny trzeba szczelnie ułożyć na talerzu i przykryć odwróconym talerzem. Na wierzch położyć zwilżone płótno, ale jeszcze lepiej włożyć między dwie kromki chleba.

Owoce pozostają świeże, jeśli nie są pogniecione ani wilgotne. Rwane w upał nie dadzą się dłużej przechować. Nie należy ich kłaść zbyt grubą warstwą. Kosze, najlepiej niskie, wysłać chłodnemi a suchemi liśćmi, na nie położyć przebrane owoce, a na wierzch dać znowu warstwę liści. Postawić w chłodnem i ciemnem miejscu.

Świeże jarzyny także nie powinny stać w świetle. — Sałatę złożyć ciasno główka przy główce, korzeniem do góry, w misce, tę zaś nakryć mokrem płótnem. — Fasolkę szparagową, szparagi, angielskie selery, zielony groszek niełuskany zawinąć w wilgotne płótno. — Kalafjor nie znosi wilgoci. Należy więc róże odsłonić i przykryć szczelnie suchym pergaminowym papierem, na to położyć nieodcięte zielone liście kalafjora i związać je u góry.

Najłatwiej przechować jarzyny okopane; wystarczy złożyć je w piasku.

Cytryny i pomarańcze można długo przechowywać w zimnej wodzie, którą należy często zmieniać. Nadkrojona cytryna pozostaje świeża, jeśli się ją ułoży przecięciem wdół na talerzyku i nakryje odwróconą szklanką. Postawiona w kieliszeczku także długo się trzyma, ale w miejscu przekroju wysycha.

SUROWA DIETA. Dla osób zdrowych przedstawia surowa dieta miłe urozmaicenie w jadłospisie, o ile nie jest stosowana z przesadą. Zupełne przejście na surową dietę kryje bowiem i dla zdrowych osób różne niebezpieczeństwa, a staje się wprost szkodliwe, o ile nie następuje stopniowo tylko doraźnie. Natomiast 1 dzień surowej diety w tygodniu, albo jeden posiłek na dzień, nie zaszkodzi ale przeciwnie działa czyszcząco. Jednakowoż osoby chore albo źle trawiące nie powinny eksperymentować bez porady lekarza, albowiem jakkolwiek przy niektórych schorzeniach surowa dieta może działać zbawiennie i bywa polecana, przy innych może sprowadzić fatalne skutki, dlatego należy być ostrożnym. Dla tych, którym lekarz poleca tę dietę, podajemy kilka przepisów.

Jarzyny i owoce używane w stanie surowym powinny być starannie czyszczone i płókane, jednakowoż nie powinno się ich za długo moczyć, bo stracą cenne składniki. Jarzyny rozdrabnia się zazwyczaj starannie, żeby celuloza w nich zawarta stała się łatwiej strawna, albo mniej nadwerężała narządy trawienia. Dla zdrowych wystarcza cienkie poszatkowanie, dla innych przepisują często mielenie. W wypadkach, kiedy użycie soli jest zabronione, można smak jarzyn zaostrzyć przez dodanie przypraw pod postacią pietruszki, selera szczypiorku, cebuli albo czosnku — wszystko wstanie posiekanym albo zmielonym.

Mieszana sałatka. Poszatkować cienko: młode buraczki ćwikłowe, rzodkiew i rzodkiewki, ogórki i o ile można je już dostać, pomidory. Posiekać nać pietruszki, młodą cebulkę i jeden

młody czosnek, utrzeć odrobinę chrzanu i wymieszać z poszatkowanemi jarzynami. Nakoniec pokropić cytryną i oliwą, albo wymieszać ze śmietaną.

Mieszane jarzyny. Poszatkować kapustę włoską albo białą i ubić na stolnicy wałkiem aż zupełnie zmięknie. Osobno poszatkować zieloną fasolkę, młode marchewki, ogórki i sałatę głowiastą. Dodać do tego młody groszek, wymieszać wszystko razem, posolić według smaku i dodać oliwy albo śmietany. Podać z chlebem razowym albo z grzankami.

Do surowej diety należy prócz jarzyn i owoców także cerealja, jak: płatki owsiane, pszenica, ryż, szczególnie „puffed rice" i różne gatunki chleba. Cerealja spożywa się bądź zrumienione bądź namoczone w mleku albo wodzie na kilka albo kilkanaście godzin przed spożyciem.

Niektórzy jarosze spożywają także zboże kiełkowane albo owoce strączkowe doprowadzone do kiełkowania, gdyż proces kiełkowania wytwarza dużo witamin i zmienia skrobie na łatwo-strawne rodzaje słodu. Jednakowoż zauważono po spożyciu kiełkowanej fasoli dolegliwości podobne do zatrucia i dlatego powinno się zachować umiarkowanie w stosowaniu kiełkowania.

„Puffed rice" jest to ryż sztucznie rozluźniony, bardzo łatwo strawny i smaczny. Ziarnka znacznie powiększone i lekkie można gotować jak zwykły ryż, albo spożywać namoczony w mleku

lub też zrumieniony i polany masłem albo śmietaną. Ryż ten podaje się przy surowej albo jarskiej diecie jako uzupełnienie. Można go przyrządzać na różne inne sposoby i wzbogacić nim każdy jadłospis. Taksamo istnieje rozluźniona pszenica i owies.

P u f f e d r i c e z o w o c a m i. Zrumienić ryż niezbyt ciemno, dodać drobno pokrajane owoce albo jagody, wymieszać ze śmietanką i cukrem zaś na wierzch dać ubitą śmietankę kremową albo śmietaną. Doskonałe po zamrożeniu.

TOWAROZNAWSTWO

F a s o l a żółta szparagowa jest dobra, póki łamie się łatwo i gładko. Gdy jest już za stara, staje się giętka, a przełom nie jest gładki i lśniący, tylko strzępiasty i ujawnia stwardniałe włókna strączków. Ciemne plamy na strączkach powodują szybkie gnicie; toteż fasolkę tego rodzaju należy zaraz użyć po wycięciu plam albo wogóle odrzucić. Zielona fasolka jest równie smaczna jak żółta, zwłaszcza gatunek zwany „jaśkiem". Strączki wijącej się fasoli są szersze i bardziej mięsiste, jak fasoli krzaczastej. Żółta fasolka szparagowa posiada włókna mniej silne wzdłuż strączków, toteż w stanie młodym można ją gotować bez obierania z włókien.

E n d y w i j używa się jak sałaty. Liście mają fryzowane i wycinane, prawie białe. W smaku są delikatniejsze od sałaty. — Sprzedają je niekiedy mylnie jako sałatę cukrową, gdyż smak mają słodkawy.

K a r c z o c h y są to jadalne kwiaty rośliny podobnej do ostu. Dno kielicha, które stanowi właściwą część jadalną, powinno być mięsiste, zaś listki świeże zielone albo czerwonawe. Ostatnia odmiana uchodzi za delikatniejszą w smaku. Karczochy są dostatecznie dojrzałe, gdy końce listków kielicha są żółte.

K a r d y, których białe łodygi jada się jak szparagi, są pokrewne karczochom. Im bielsze łodygi, tem smak jest delikatniejszy.

S e l e r y hoduje się bądź dla naci używanej jako przyprawy, bądź dla korzeni, dostarczających smacznej sałaty, albo używanych jak włoszczyzna. Korzenie powinny być średnio duże, gładkie, bez dużej ilości bocznych korzonków, które znamionują odmianę łatwo drzewiejącą.

S e l e r y a n g i e l s k i e wybielane należą do najwykwintniejszych jarzyn. Jada się same łodygi, przyprawione jak szparagi. Powinny być śnieżno-białe.

EPILOG SPRAWY ŻAK CONTRA SZACH.

Wyrokiem Sądu Okręgowego w Warszawie, Josek Szach, właściciel wytwórni artykułów kosmetycznych, skazany został na 3 miesiące aresztu i zapłacenie 4.000 zł odszkodowania na rzecz Henryka Żaka. Szach pociągnięty był przez prokuratora do odpowiedzialności za wypuszczenie na rynek wody kolońskiej pod nazwą „Warszawianka", przyczem rysunek etykiety naśladował do złudzenia etykiety, umieszczone na butelkach z wodą kolońską „Przemysławka", wyrabianej przez fabrykę perfum i kosmetyków Żaka w Poznaniu. Szach zaapelował przeciw wyrokowi sądu okręgowego, lecz sąd apelacyjny wyrok ten zatwierdził. Wówczas Szach wniósł skargę kasacyjną. Jednak i sąd najwyższy skargę S. oddalił, zatwierdzając wyrok, skazując S. w całej rozciągłości. Należy się spodziewać, że wyrok ten będzie przestrogą dla wszystkich tych, którzy chcieli drogą nieuczciwej konkurencji korzystać z owoców cudzej pracy.

P o m i d o r y chowa się u nas w 2 odmianach, okrągłe gładkie i podłużne fałdowane; oba rodzaje czerwone. Okrągłe dojrzewają w naszym klimacie lepiej, aniżeli inne. Pomidory powinny być jędrne, o lśniącej skórze, bez plam. Większość u nas nie dojrzewa, toteż zrywa się je w stanie zielonym. Dochodzą one na słonecznem oknie, ale są mniej smaczne, od dojrzałych na krzaku. Drobne zielone pomidory można marynować jak ogórki.

Bałtarzany, bakłaczany albo oberżyny jest to odmiana pomidorów barwy fioletowej. Rzadko u nas chowana, gdyż udają się tylko w ciepłych i słonecznych okolicach.

Kapusta jest jarzyną spożywaną w dużych ilościach, gdyż daje się przechować do wiosny, a w stanie kiszonym nawet przez cały rok. Główki powinne być zwarte i ciężkie, zaś liście cienkie o delikatnych żyłkach. Dobra kapusta jest jasna, białawo-żółtawa. Zielona jest gorzka i ostra. Soczyste listki dobrej kapusty łamią się łatwo i są kruche. Kapusta o grubych i wodnistych listkach ulega łatwo gniciu i pochodzi zwykle z pól niewłaściwie nawożonych. Zmarzniętą kapustę poznaje się po szklistych listkach mętnego koloru i po nieprzyjemnym zapachu.

Czerwona kapusta dobrego gatunku ma również cienkie listki o słabych żyłkach i zwarte, ciężkie główki.

Do Pani Zuli Pogorzelskiej!

SZANOWNA PANI

Pragnę jej wyrazić tą drogą prawdziwą i niekłamaną wdzięczność za zwrócenie uwagi mojej w swoim czasie na krem **FEMY**, doprawdy jedyny, mojem zdaniem, środek usuwający radykalnie zbyteczne włosy. Przyznam się Sz. Pani, iż odnosiłam się do rozmaitych tego rodzaju środków z dużą dozą sceptycyzmu. Zdanie jednak takiej „par excellence“ kobiety, jak Sz. Pani, było nie do pominięcia i... zaopatrzyłam się w krem **FEMY**. Skutek był ponad wszelkie oczekiwania. Po jednorazowem użyciu zginęło zbyteczne owłosienie pod pachami i na nogach, przyczem skóra nie została podrażniona. Od tego czasu używam go stale z niezmiennym skutkiem. Zbawienne działanie **FEMY** odczuwam zwłaszcza w dobie obecnej, w porze kąpieli słonecznych i plażowania.

Jeszcze raz dziękuję Sz. Pani, iż pospieszyła podzielić się swemi spostrzeżeniami z całym ogółem wdzięcznych kobiet. M. M.

Ważnym przetworem kapusty jest kapusta kiszona. Im bielsza i im cieniej szatkowana, tem smaczniejsza. Do kapusty dodajemy różne przyprawy, jak np. kminek. Kapusta ciemna i zielonkawa jest gorzka i ostra. Miękka kapusta kiszona jest zepsuta i niezdatna do użytku. Zapach kiszonej kapusty powinien być przyjemny, winny, a nie mdły, ostry albo stęchły.

Kapusta brukselska składa się z drobnych główeczek osadzonych na wysokim głąbie. Główki te powinny być żółtawe, zwarte i jędrne. Lepiej kupować je na głąbie, gdyż oderwane główeczki nie dadzą się przechować.

Jarmuż należy również do roślin kapustowatych. Listki jego są długie, silnie fryzowane, koloru ciemno-zielonego albo brunatnego. Ta ostatnia odmiana jest smaczniejsza od zielonej. Po przymrozku jarmuż staje się delikatniejszy i smaczniejszy. Zimuje pod śniegiem i daje się dobrze przechować przez zimę w piwnicy. W porze zimowej zastępuje szpinak. Z korzeni pozostawionych w jesieni w gruncie, wypuszcza na wiosnę pędy, które dostarczają wczesnej jarzyny. Jarmuż, u nas niedoceniany i mało uprawiany, hoduje się na Zachodzie w znacznych ilościach.

Salsefja zwana także „czarny korzeń“, jest to smaczna jarzyna podobna w smaku do szparagów. Długie a cienkie korzonki są pod czarną skórką śnieżno-białe i kruche. Sprzedaje się je w wiązkach i przechowuje przez zimę. Salsefja ma własności lecznicze. Na Zachodzie spożywa się ją w znacznych ilościach. Rośnie dziko, ale bywa także hodowana w ogrodach. Ta ostatnia jest delikatniejsza w smaku.

Chrzan rośnie również dziko, albo w ogrodach. Grube gładkie korzonki niezdrzewiałe i białe są najlepsze. Wystrzegać się należy chrzanu o żółtych albo ciemnych plamkach i wyrostkach.

Brukiew jest to korzeń kształtu buraka, żółty, słodkawy. Uważać, żeby nie był zdrzewiały i łykowaty.

Rzepa ma krótki gruby korzeń prawie okrągły, biały i smak słodkawy. Nie należy jej zamieniać z rzodkwią, która ma smak ostry.

Buraki czerwone ćwikłowe są tem delikatniejsze, im mniejsze, o kształcie krótkim a grubym. Wydłużone i duże są najczęściej wewnątrz białawe albo pasiaste i nierzadko zdrzewiałe. Przy kupnie należy zakroić skórkę w pobliżu naci dla zbadania, czy miąższ jest czerwony. Także po liściach można poznać, czy burak jest czerwony. Gdy są ciemno-czerwone, prawie czarne, będą dobre. Nać młodych buraków można spożywać jak szpinak.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

JADWIGA W. — W Czwartym Almanachu „Świata Kobiecego“ jest artykuł o ziołach leczniczych, w którym znajdzie Pani odpowiedź na nadesłane pytania.

KAROLINA Z. — Przyznajemy, że cena zł 3,50 za małe mydełko wyrobu krajowego jest wygórowana. Nie musi Pani jednak kupować przetwory wymienionej w liście fabryki, zwłaszcza gdy Jej nie zadowalają. Powszechnem uznaniem cieszą się wyroby Fryderyka Pulsa; mydła, kremy, wody kwiatowe są niezrównanej jakości, a przytem tanie. Dostać można w każdej perfumerji lub w składzie aptecznym.

MŁODA MATKA. — 1. Prosimy o adres imienny, a udzielimy wszelkich objaśnień, na które w drukowanych odpowiedziach nie mamy miejsca. — 2. Troski z zakresu garderoby, szycia w domu i form zechce Pani wymienić dokładnie, a redaktorka „Kącika Praktycznego“ uwzględni je w najbliższych numerach.

LETNICZKA. — 1. Oczywiście tylko bawełny nadają się na „chłopki“. Wzory mamy piękne, a wdzięczne modele podaliśmy już w „Świecie Kobiecym“. — 2. Kolor biały jest najmodniejszy i najpraktyczniejszy, gdyż pierze się doskonale i nie płowieje w upalnem słońcu. Skoro bierze Pani służącą ze sobą, kwestja prania nie stanowi kłopotu.

IRENA. — Musimy przyznać słuszność znajomemu Pani. Nie można bezkarnie rozbudzać nadziei, prowokować oświadczyn, a potem udawać zdziwienie i traktować kogoś jak intruza. Trzeba umieć ponosić konsekwencje swoich czynów i nie oburzać się, gdy czyjaś godność osobista reagując w sposób słuszny na takie postępowanie, wymierzy sobie sprawiedliwość — słowną. Kobieta dzisiejsza, równouprawniona, nie może wykręcać się od odpowiedzialności.

P. MARJA ŁUBIŃSKA. — Podajemy żądany adres: Ostap Ortwin, Lwów, Szymona Okólskiego 8.

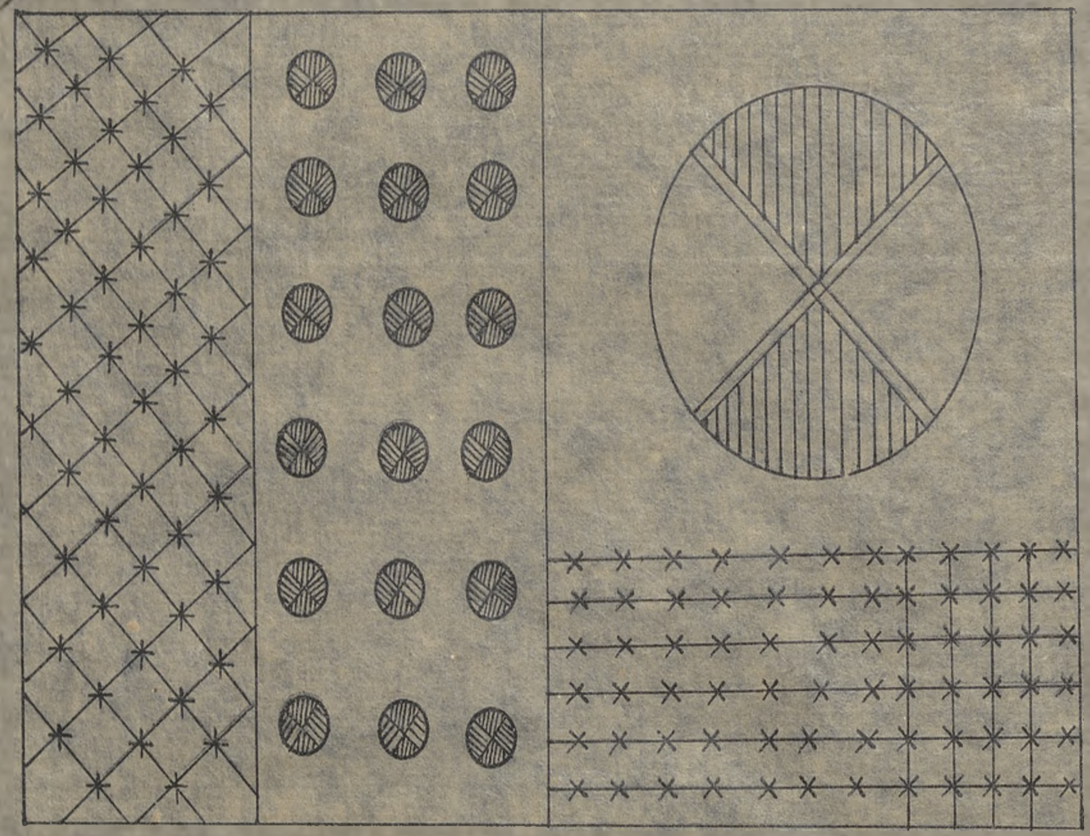
Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

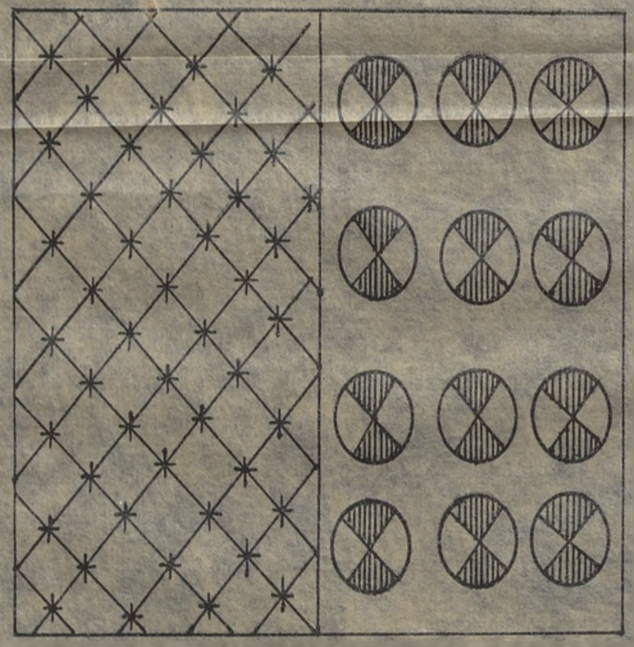
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34



a)



b)

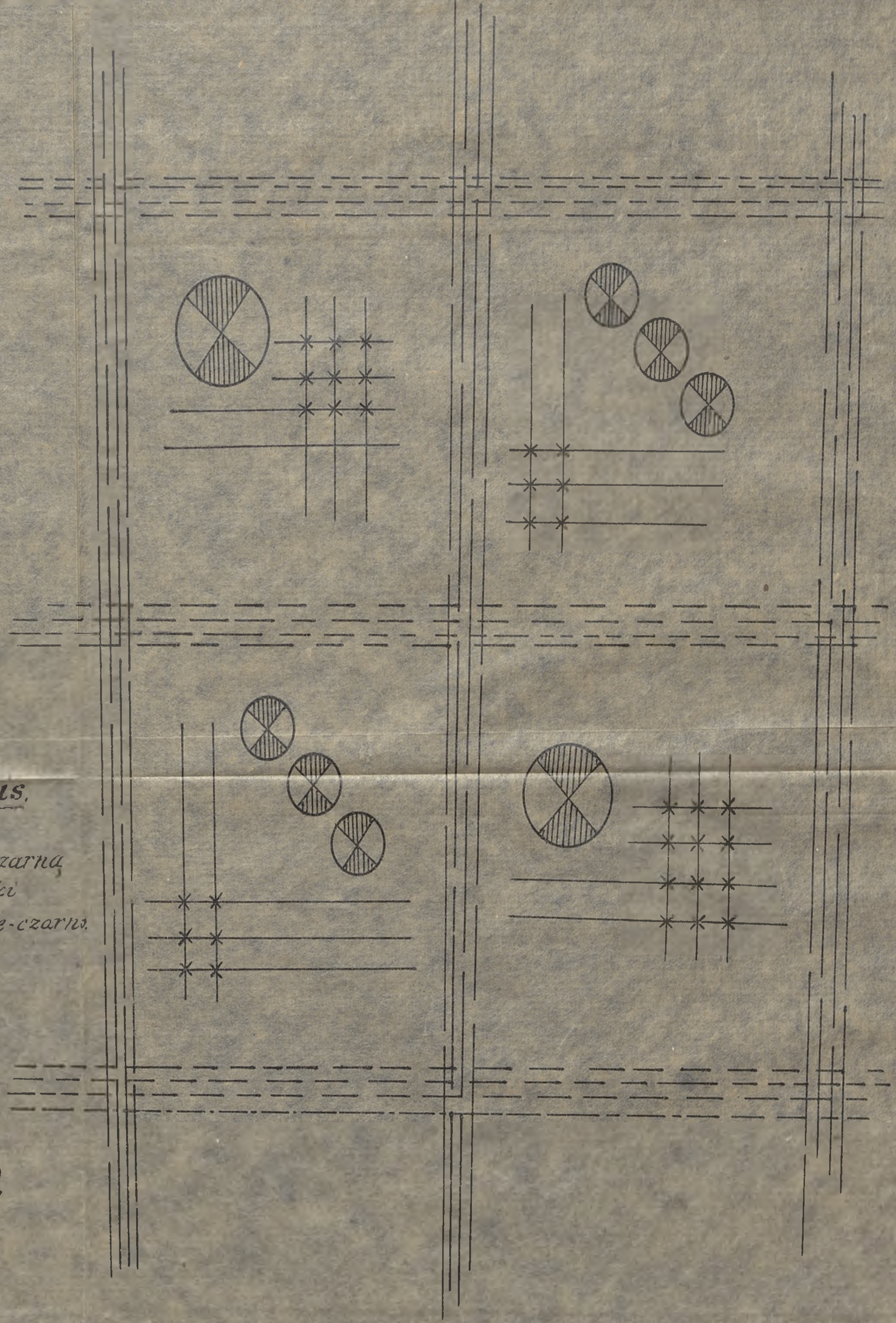


Kamizelka do gry w tenis,

z grubej białej materji.
Kratę stebnować należy czarną
i czerwoną włóczką; piłki
haftować czerwono, siatkę-czarno.

a) Kieszeń dolna
b) Kieszeń górna

Proj. Ida Hölzlowa.



Dodatek do „Świata Kobiecego" Nr 14 - Rok 1930.



Dodatek do „Świata Kobiecego" Nr 17 – Rok 1930.